Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena podwójnego numeru 50 gr.

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA — DWUTYGODNIK

N. 9-10

ROK III—NR 9--10
M a j 1935 r.
WILNO-POZNAŃ



O chrześcijańską kulturę jutra —
DWUTYGODNIK

Wśród licznych „kryzysów“, o jakich ciągle się teraz mówi, coraz częściej zaczyna się wspominać o kryzysie nauki. Istotnie, spostrzegamy pewne objawy niepokojące. Jako jeden z nich wysuniemy załamanie się wiary w objektywizm nauki i szukanie dla niej podstaw wśród pierwiastków emocjonalnych (rasizm w Niemczech, antagonizmy klasowe w Rosji, nacjonalizm (we Włoszech); jako drugi — zanikanie dziś wiary w wartość czystej nauki, w wartość poznania, o ile nie jest ono zdyskontowane dla celów utylitarnych. To prowadzi do coraz większej obojętności szerokich mas w stosunku do nauki. Myśl katolicka winna wypowiedzieć zdecydowaną walkę opisanym wyżej tendencjom. Rozumiejąc, że życie nauki leży u podstawy wszelkiej kultury, na zagadnienia związane z nauką chcemy zwrócić uwagę naszych Czytelników. To też — prócz luźnych artykułów, recenzyj, wzmianek kronikarskich i t. p. — dwa razy w ciągu roku będziemy poświęcali w numerze więcej miejsca zagadnieniom związanym z nauką, poruszając przedewszystkiem zagadnienia syntezy naukowej, organizacji, stosunku poszczególnych dziedzin do siebie etc. Przypuszczamy, że godzi się to z życzeniami naszych Szanownych Czytelników. *Red.*

FELIKS KONECZNY

NAUKĄ DO WIEDZY

Wezwany do współpracownictwa w dwutygodniku „Pax“ staję do apelu, bo widzę, że pismo jest katolickie a polskie. Pragnęliby Panowie ode mnie artykułu na ogólny temat nauki? Wiadomo, że w takiej dziedzinie myśli, w której się najwięcej przebywało, wie się ostatecznie... najmniej, bo się roi coraz bardziej od wątpliwości, a te (jak na złość!) bywają najciekawsze. Postaram się podać szkielet tego, o czem mógłbym powiedzieć, że to jednak wiem już na pewno — a tego będzie niewiele. Będąc historykiem, użyję tej nauki za punkt wyjścia. Tu zaś nasuwa mi się uwaga, że wiele winienem 10-letniemu pobytowi w Wilnie, o którego ciasnych uliczkach można powiedzieć, jako pełne są zagadnień powszechnodziejowych.

Wiemy wszyscy, że badania naukowe posuwają się w dwojaki sposób: jużto przez specyalizacyę, jużto przez generalizowanie; a gdyby to było niemożebne, tamto byłoby niepotrzebne. Stosunek tych dwu łożysk nauki jest stosunkiem środków a celu. Trzeba tedy wpierw być dobrze zaopatrzonym w środki: kto nie pracował dużo i długo w analizie, w tej czy owej specyalności, nie ma wstępu do budowy syntezy.

Praca syntetyczna narażona jest z natury rzeczy bardziej na subjektywizm, niż dociekania analityczne. Nie lekceważmy żadnego punktu widzenia, boć wszelka obserwacya przedsiębrana z nowego takiego punktu może dostarczyć wyników jak najgodniejszych uwagi. Brońmy się też przed wyłącznością jakiegokolwiek pola obserwacyjnego. Gdybyż można objąć je wszystkie! Z krytycznego ich przeglądu możeby się zrodziła synteza automatycznie niejako? Summa wszelkich punktów obserwacyjnych daje niewątpliwie dokładne widzenia całości, lecz pod jednym warunkiem, by ze wszystkich patrzeć równocześnie, od jednego razu, by nie ulec skutkom zmian, sprawianych przez czas. Aleć to niewykonalne? Niestety! Bądź cobądź zbliżymy się przynajmniej do należytego ogarnięcia całości, używając rozmaitych punktów obserwacyjnych.

Generalizowanie staje się pędem nieodpartym dla badacza, który dostrzegł, że w nauce wszystko ma związek ze wszystkiem. Uczony prawdziwy, z powołania, musi sobie z tego zdawać sprawę, musi dojść do tej prawdy po pewnym czasie studyów, choćby najszczelniej specyalnych. Zresztą stara to już teza, wiadoma jeszcze Bucklowi (1857) i spory czas, żeby się nareszcie spopularyzowała. Mem zdaniem nauka winna prowadzić do wiedzy, a **wiedza jest sumą związków zachodzących między naukami;** najwyższem zaś piętrem konstrukcji — pogląd ogólny na wszystko, światogląd. *) Do tego szczytu wspinać się można, skądkolwiekby się zaczęło; niema takiej nauki, któraby nie mogła posłużyć za punkt wyjścia.

Od dawna rzucanie światoglądów stało się jakby monopolem przyrodników. Nawet życie historyczne podsumowano pod prawa biologiczne. Klio sama zawiniła niemało, iż zdegradowano ją na piąte koło u wozu przyrody. Upadek nauk humanistycznych dawał też i daje coraz więcej pola wszelkiemu szarlatańswu w życiu publicznem.

Obecnie nauki te wyposażone są w metody znakomicie wydoskonalone. Czemuż więc nie nadrabiać, co się zaniedbało? czemu nie posuwać się ku szczytom i nie pokusić się o światogląd oparty na humaniorach? Można śmiało głosić renesans nauk humanistycznych. Nie trzeba im wcale wyznaczać miejsca poza „umiejętnością ścisłą“, albowiem historya np. zdoła wykryć i wykazać swe „pewniki“ i „prawa“ **metodą własną.** Nie idę z tymi, którzy chcieliby zrobić z historyi coś nakształt nauk przyrodniczych; w upodabnianiu się do nich dopatruję się wykolejenia, które grozi w dalszym ciągu degeneracyą. Pewne próby, podjęte ze strony niektórych historyków, żeby wydoskonalać historyę przez upodobnianie do nauk przyrodniczych, uważam za nieporozumienie, które będzie zapewne krótkotrwałem.

Róbmy każdy swoje, przyrodnik i humanista, po swojemu, własnemi metodami, a wtedy właśnie znajdziemy się na dobrej drodze ku owym wyżynom, gdzie wszystko się zbiega, gdzie znać związek wszystkiego ze wszystkiem.

Do tego wspólnego wszystkim naukom celu przyczyniają się nauki przyrodnicze wciąż z energją nie stygnącą; dość rozczytać się w jakimkolwiek nowym podręczniku, czyto fizyki, czy astronomii, lub chemii, biologii czy geologii. Co za pogłębienie wiedzy, widoczne niemal z roku na rok, co za wytrwałość, wskazująca na widoczny zapał. Z tego niechby humaniści czerpali wzory, ale nie z metod! Ich metody nie wiodą w humanistyce do niczego, chyba do chaosu i do rozwoju in minus. Dlatego powtarzam, że każdy musi zdążać

*) „Światogląd“ za prof. Rozwadowskim, zamiast obrzydliwego „światopoglądu“.

do wspólnego celu drogą własną; a ktoby własnej nie miał, stawałby się stopniowo nieużytecznym.

Nieprawda, jakoby całe życie ludzkie, i w konsekwencyi cały tok historyi miały podlegać prawom tym samym, co przyroda. Stosunek zachodzi co do tego trojaki: niektóre prawa są istotnie wspólne, (ale jakżeż tego mało!), niektóre wręcz przeciwne, inne zaś odmienne, i takie, dla których brak zupełnie tertium comparationis. Zasadnicza zaś różnica świata materyalnego a duchowego w tem, iż materyalny bezwzględnie musi ulegać siłom, na których działanie jest wystawiony, a ulegać według praw również bezwzględnych, gdy tymczasem przy przejawach ducha widzimy coś zgoła odmiennego. Całe nasze człowieczeństwo z tego się rodzi, iż przechodzimy obok mnóstwa sił, nietknięci przez nie, podlegając tylko niektórym. Sam użytek rozumu zawdzięczamy tej okoliczności, że nie pozostajemy pod przymusem ulegania każdej sile, z jaką się w życiu zetkniemy.

I tu i tam, w świecie materyi i ducha, istnieje niewątpliwie energja potencyalna i kinetyczna, tudzież przemienność form, ale czy w świecie ducha obowiązują prawa zachowania i rozpraszania energii... to więcej, niż wątpliwe. A czy można się zgodzić na definicyę pracy taką, jak o pracy fizycznej, że mianowicie polega na pokonywaniu oporu? Opór środowiska, prawo przeciwdziałania mogą zachodzić w świecie ducha, ale nie muszą. Trudno, co innego mechanizm, a co innego organizm; w przyrodzie zachodzi jedno i drugie, lecz w świecie ducha mechanizmów niema. W maszynie postęp polega na uproszczeniach i w taki właśnie sposób opanowujemy coraz mocniej siły przyrody. Ale w świecie ducha wszelki postęp bywa zarazem... komplikacyą zwiększoną. (Stąd szkodliwość mechanizmów w życiu zbiorowem, np. biurokracyi, szkoły wszędzie jednakowej i t. d.).

Bądź cobądź są prawa wspólne, choć nieliczne. Gdybyż uczeni tak humaniści jakoteż przyrodnicy zajmowali się równocześnie bliższem dochodzeniem tej sprawy, ileż zyskałyby same szczyty naszej wiedzy. A gdzie niema wspólności, starajmyż się zrozumieć, skąd rozbieżność i dlaczego? Ale czasem się okazuje, że zachodzi coś najdziwniejszego: są prawa warunkowo wspólne, lecz działające według odmiennych prawideł na objawy materyi, a inaczej na objawy życia duchowego. To wszystko wyjaśnić—co za skok ku szczytowi, jakież dalekonośne powstałoby zbliżenie się do Prawdy.

Marzenie? To zależy w znacznej mierze od tego, czy humaniora zdobędą się na tyleż zapału, energii i niepowstrzymanego pędu ku szczytom myśli ludzkiej, ile ich wykazują nauki przyrodnicze. Rozwój, humanistycznych uwolniłby wiedzę od niebezpieczeństwa jednostronności. Światogląd wtedy dopiero pocznie nabierać znamion wiedzy, gdy zaczną się na niego składać oba wielkie działy nauki razem. Dopóki tego niema, światoglądy mogą wyrastać obficie, ale będą stanowiły albo krańcową konsekwencyę jednostronności, albo też nawet... owoc czyjegoś widzimisię, obleczonego paradnie w szatę filozoficznego słownictwa.

W tym wyścigu ku szczytom znajdzie też historya swe wyższe piętro: będzie niem nauka o cywilizacyi, jako o metodach życia zbiorowego. Jeśli powiedzie się wyjaśnić zagadnienie różności cywilizacyj, wyniknie z tego nowy widok historyi powszechnej. Będzie traktowała dzieje walk cywilizacyj z sobą, i dzieje prób syntez cywilizacyjnych, dzieje ich ekspansyj i zaników, dzieje powstawania kultur i wzajemnego ich oddziaływania lub też ulegania cywilizacyi obcej, a zatem dzieje wzajemnych wpływów cywilizacyj, wpływów dodatnich i ujemnych. Historya powszechna, stawszy się historyą metod życia zbiorowego, obejmie nareszcie całą pełnię życia historycznego. Wtedy dowiemy się, o co chodzi w tysiącleciach ludzkiej doli i niedoli. Wtedy też dopiero przydadzą się nareszcie do czegoś mozolne dociekania drobiazgowych szczegółów, które dotychczas są chyba same sobie celem, a przyrodnikom nasuwają kwestyę, czy historya jest wogóle nauką.

Natenczas historya będzie służyć wraz z orszakiem humaniorów do twórczego roztrząsania wielkich zagadnień człowieka i człowieczeństwa. Będzie się mogła wspinać po szczeblach abstraktów aż do przedsionka porządku nadprzyrodzonego, roztrząsając własną metodą nawet najwyższe z zagadnień: o stosunek Myśli a Bytu.

KSIĄŻKA O SOBIE

Nauka w czasach współczesnych — to dziedzina tkwiąca korzeniami w społeczeństwie. Rozwój nauki nie jest do pomyślenia bez oparcia o wyniki badań poprzedników, bez wzajemnej współpracy żyjących. Nie chcę przez to pomniejszać roli talentu w dziedzinie nauki, chcę tylko podkreślić doniosłość organizacji na tym również odcinku życia człowieka. Tego zagadnienia właśnie dotyczy praca prof. **Jana Bystronia** p. t. *Człowiek i książka*, której 2-gie wydanie świeżo się ukazało na półkach księgarskich.

Ciągłość rozwoju myśli zawdzięcza człowiek właśnie książce i to jest niejako punkt wyjścia dla rozważań autora. Ale na to, aby książka spełniła swą rolę, musi być umiejętnie wykorzystana przez człowieka. Konieczna zatem jest mądra organizacja czyli technika pracy umysłowej. Ciekawe w tym zakresie myśli i wskazówki znajdujemy w I rozdziale *(Książka)* omawianego dzieła.

Dwa następne rozdziały *(II Autor i problem, III Forma zewnętrzna książki)* poświęcone są organizacji produkcji książki.

Problem, jak stwierdza Bystroń, góruje nad autorem we współczesnych wydawnictwach naukowych. Jest to rezultat specjalizacji poszczególnych dziedzin wiedzy i konieczności organizacji współpracy zbiorowej uczonych, oraz przejęcia opieki nad nauką przez społeczeństwo i państwo. W ewolucji formatu książki dostrzega autor dążność do normalizacji, a to celem uzyskania korzyści praktycznych: wygody czytelnika, obniżenia kosztów produkcji oraz oszczędności miejsca w bibljotekach.

Rozdziały IV *(Organizacja bibljografji)* i V *(Organizacja bibljoteczna)* dotyczą zagadnienia organizacji dróg, jakiemi książka trafia do rąk czytelnika. Doniosłe znaczenie bibljografji, jako przewodnika po olbrzymiej masie produkcji piśmienniczej jest bezsprzeczne. Daje się nawet odczuwać potrzeba zestawień bibljograficznych do zagadnień specjalnych nieraz bardzo szczegółowych. W tej sprawie autor słusznie domaga się planowego systemu, ujednostajnienia metod ogłaszania materjałów bibljograficznych i równomiernego ich opracowania. Sądzę, że najbardziej powołaną do tego instytucją jest Instytut Bibljograficzny przy Bibljotece Narodowej w Warszawie.

W wyniku zmian w środowisku społecznem powstaje nowy typ uczonego, człowieka czynnego, interesującego się przejawami życia. Książka dlań jest środkiem, narzędziem w rozwijaniu własnej myśli twórczej. Nie zasklepiając się w ciasnym kręgu swojej specjalności, lecz obejmując szersze horyzonty uczony współczesny świadom jest, że udziałem jego jest tylko drobna cząstka olbrzymich przestworów nauki. Obdarzony zmysłem organizacyjnym wyniki własnych badań stara się wiązać z doświadczeniem swych poprzedników oraz współtowarzyszy. Oto w zasadniczym zrębie treść VI i ostatniego rozdziału książki *(Człowiek)*.

Na zakończenie parę uwag krytycznych.

Zagadnienie piękna książki nie zostało poruszone przez prof. Bystronia. Prawdopodobnie w obawie przed zbytniem rozszerzeniem tematu problem ten został pominięty przez autora. Przedmiotem bowiem rozważań Bystronia jest książka naukowa tylko. Sądzę jednak, że piękna szata zewnętrzna książki ma niewątpliwie wpływ na rozwój twórczej myśli człowieka.

Wniosków też Bystronia o przewadze problemu nad autorem nie można odnieść do książek z dziedziny literatury pięknej. Bądź co bądź tutaj żadne programy i żadne nawoływania o budowanie kultury takiej czy innej nie zastąpią rzetelnego talentu.

Nie wydaje się też w całej rozciągłości uzasadniony optymizm autora, który szczególnie wyraźnie występuje w ostatnim rozdziale jego książki. Skargi na mechanizację życia i zabijanie indywidualności mają swe uzasadnienie w konkretnej rzeczywistości. Nie należy ich tylko, sądzę, rozumieć jako protest przeciwko planowej organizacji życia. Przeciwnie wypływają one nieraz z troski o całość budowy. Wszak najlepszy mechanizm rdzewieje i psuje się, gdy nie są odnawiane jego części! A czy współczesny nauczyciel, urzędnik, robotnik, może sobie pozwolić na zbytek kształcenia swego umysłu?

Wszelka organizacja wtedy ma swój sens i rację, gdy jest pomyślana celowo. A tego u nas w wielu dziedzinach życia brak. O to winniśmy walczyć, tego się domagać; tylko wtedy znikną utyskiwania na martwotę i mechanizację życia współczesnego.

Osiągnąć zaś to tem łacniej będziemy mogli, gdy działalność swą oprzemy o fundamenty niewzruszone życia indywidualnego i zbiorowego ludzi jako społeczności wychodzącej poza granice świata tegoczesnego.

(W. N.)

L. KOROWAJCZYK

NA OSTRYM ZAKRĘCIE WSPÓŁCZESNEJ NAUKI

Artykuł niniejszy nie we wszystkich punktach jest wyrazem poglądów redakcji. Ujmując sprawę z ekonomiczno-społecznego punktu widzenia, patrząc na naukę pod kątem walki klas, charakteryzuje słusznie zboczenia i manowce współczesnej nauki i dlatego go drukujemy. Wysuwa na plan pierwszy objawy płynące ze zmaterjalizowania dzisiejszej kultury, które, na szczęście, nie są jeszcze powszechne. Jeśli jednak często tak jest, tak być nie powinno. Wraz z całym światem katolickim chcemy walczyć o chrześcijańską kulturę, a więc i o naukę, któraby służyła Bogu Prawdy, nie zaś bożkom Kapitału, Nacjonalizmu czy Kolektywizmu. *Red.*

1. W świetle kryzysów. Głębsze i wszechstronne spojrzenie na bieżącą chwilę dziejową nieuchronnie prowadzi do wniosku, iż przeżywamy nietylko kryzys ekonomiczny, który zresztą najdotkliwiej daje się odczuć. Termin „kryzys" nabiera znaczenia jakiegoś powszechnika, mającego swój udział w każdej dziedzinie działalności ludzkiej. Bo niewątpliwą jest rzeczą, iż obok kryzysu ekonomicznego przeżywamy, organicznie z nim związany, kryzys socjalny, gruntowną przebudowę podstaw współżycia społecznego, katastrofalne załamanie się uświęconych tradycją ustrojów. Na tle tej katastrofy zarysowuje się głęboki kryzys moralny, ukazujący w tragicznej panoramie zakłamanie zasad etycznych, cynizm wzajemnego wyzysku, paradoksy indywidualnej i zbiorowej etyki, frazeologję haseł, w których treść nikt nie wierzy i t. d. i t. p. Całość może być poprostu określona jako kryzys cywilizacji europejskiej, rozwianie legendy białego człowieka i generalna rewizja wartości, dotychczas obowiązujących.

Zrozumiałem jest, iż na tle potężnych przemian i w ich bezpośrednim związku, nauka, jako jedna z dziedzin ludzkiej działalności, nie mogła uniknąć niemniej katastrofalnych wstrząsów. Zdawać się może dziwnem wiązać te wstrząsy z ogólnem tłem warunków socjalnych, przyzwyczailiśmy się bowiem uważać je za dziedzinę „prawdy objektywnej" stojącą poza wszelkiemi przemianami społecznemi, niemal za dziedzinę ponadczasową i ponadprzestrzenną. Dzisiaj jednak musimy z tego poglądu zrezygnować: życie nauki, jej bieg, metody i wyniki ściśle uzależnione są od warunków społecznych, w jakich ona się rozwija. Wychodząc z tego założenia potrafimy powiązać kryzys pojęć naukowych, jakich jesteśmy świadkami, z ogólnym kryzysem, jaki dusi społeczeństwa i narody.

2. Nauka na cenzurowanem. Jeden z autorów amerykańskich charakteryzuje naszą wiarę w naukę w następujących ironicznych parafrazach Credo: „Wierzę w atomy, molekuły i elektrony, materję nieba i ziemi i w elektryczną energję, jedyną formę wszystkiego. Wierzę w nowoczesną naukę, która się poczęła z Kopernika, narodziła się z Newtona, cierpiała pod Inkwizycją, była prześladowana i wyklinana, lecz dźwignęła się, aby zostać prawą ręką cywilizacji, albowiem włada żywymi i umarłymi. Wierzę w Narodowy Komitet Badawczy (National Research Council), uczonych obcowanie, odkryć publikację, kontrolę nad przyrodą i postęp wieczny. Amen" [1]). Stanowisko to nie jest odosobnione. Jak nigdy bodaj przedtem w dziejach ludzkich uczony współczesny postawił sobie zasadnicze pytanie: jaka jest wartość nauki dla człowieka i dla ludzkości? I tak postawione pytanie zaprząta umysły wielu wybitnych mężów nauki. Świadczy to o zwątpieniu, jakie się zakradło w duszę uczonego, co do celowości wysiłków badawczych.

Nie wdając się w ocenę przyczyn, które popchnęły do postawienia tego niemal hamletowskiego pytania, warto spojrzeć najogólniej na poszukiwania odpowiedzi na powyższe pytanie. Z natury rzeczy ma się w tym stanie pesymistów i optymistów. Do wybitniejszych przedstawicieli pierwszych trzeba zaliczyć słynnego logika i matematyka angielskiego B. Russella, który w dziele „Ikar i Dedal" dał wyraz swoim poglądom na przyszłość nauki. Russell głęboko wątpi, aby można było w sensie pozytywnym odpowiedzieć na pytanie, czy nauka jest błogosławieństwem, czy też przekleństwem człowieka. Jak dotychczas, nie powiększyła ona dobroci, ani nie dała sił do opanowania ludzkich namiętności; w stosunkach społecznych raczej spotęgowała namiętności zbiorowe. Dlatego Russell konkluduje, że naukę należy uważać jako groźną dla naszej cywilizacji. Wskazuje on na darwinizm, ktory miał się stać podstawą do teorji wolnej konkurencji w stosunkach międzyludzkich, a także wpłynął na rozpalenie nacjonalizmów. W przyszłości widzi Russell naukę, jako narzędzie panowania bezwzględnego i uciążliwego małej garści ludzi nad rzeszą słabych i ciemnych. W swej książce „Widoki nauki" [2]) maluje Russell smutny obraz społeczeństwa przyszłości, rządzonego przez naukę.

Również Bergson wskazuje na męki współczesnego człowieka, przygniecionego ciężarem postępu i techniki, które sam stworzył.

Najbardziej jednak tragiczne wołanie o katastrofie postępu rozległo się ze strony słynnego O. Spenglera, który w barwach najmniej wesołych odmalował przyszłość naszej cywilizacji, której zgubą stał się postęp i rozwój nauk.

Opinja o szkodliwości nauki i jej dalszego rozwoju dla naszej cywilizacji znalazła bardzo wielu zwolenników. Na jednym ze zjazdów naukowych angielskich nawet padł projekt, aby wogóle zarządzić na pewien okres czasu „wakacje", podczas których nie byłyby dokonywane żadne badania, żadne odkrycia ani wynalazki.

Ns tle ogólnego pesymizmu nieliczna garstka optymistów, żywiących głęboką wiarę w dobrodziejstwa nauki dla człowieka, może być uważana jako symptomatyczna mniejszość. Raczej należałoby stanąć na stanowisku, iż naukę zachodnio-europejską toczy ostre zwątpienie w celowość dalszego postępu.

3. Bezdroża nauki. Z wyżej opisanem zwątpieniem w wartość nauki idzie w parze mocne tempo badań naukowych, olbrzymi rozrost aparatu badawczego, bogactwo teoryj i pomysłów, doniosłe i często wręcz olśniewające wyniki. Kto wie, może właśnie ten nawał sukcesów wzbudza lęk i każe się zastanawiać, do czego to wszystko doprowadzi. Lecz w kaskadach faktów i uogólnień powstaje cała tęcza odprysków, które wykraczają poza ścisły teren nauki, będąc jednak z treści swej ponętnemi do uchwycenia i włączenia do ogólnej syntezy naukowej często wiodą badaczy na manowce.

Jednym z najbardziej charakterystycznych takich odprysków jest *mistycyzm w nauce*. Dotyczy to przedewszystkiem nauk przyrodniczych. W ogólnym pędzie sylogizmów i wniosków często myśl badawcza wdziera się na teren jej obcy, gdzie chce dalej tłomaczyć i badać rzeczywistość w terminach, nie mających już tam zastosowania. Liczni badacze, zapuszczając się w dziedzinę najwyższych uogólnień, stają wreszcie przed barjerą, poza którą dotychczasowa encyklopedja pojęć nie może mieć już żadnego rzeczowego znaczenia. Daje to zachętę do budowania dalszych koncepcyj już na gruncie mistycznym, w terminach wiary, w pojęciach transcendentalnych. Stwarza się pozory uchwycenia się jakiejś dalszej rzeczywistości, nawiązania dawno oczekiwanego kontaktu z dziedziną dotychczas niepoznawalną środkami naukowemi. Wielu współczesnych głośnych badaczy natury pokusiło się o podobną mistykę naukową. Znakomity astronom Jeans rozważając wszechświat w jego dzisiejszym aspekcie buduje sobie ideę Boga, który jest czystym matematykiem [3]). Inny, niemniej znakomity—Eddington odbiera tworom fizycznym jakiś określony objektywny charakter: „atom fizyczny, jak wszystko w fizyce, jest tablicą wskazań strzałek" [4]) i wreszcie wręcz wnioskuje, iż „materjał świata jest materjałem duchowym".

Podobne koncepcje dają wrażenie nawiązania łączności pomiędzy nauką a religją. O ile nie wszyscy uczeni godzą się na podobny eksperyment (B. Russell np. ostro krytykuje Jeansa i Eddingtona wskazując, iż przy takiej metafizyce stwarza się przekonanie, jakby fizyka tylko potwierdzała w rzeczywistości całą księgę Rodzaju), to szerokie rzesze laików w podobnych wystąpieniach uznanych firm naukowych widzą już niewątpliwe oznaki zarzucenia kabla do sfer niebieskich.

Poczynania mistyków naukowych niezawsze znajdują posłuch wśród przedstawicieli Kościoła. Istnieje znaczny odłam filozofów chrześcijańskich, którzy stoją na stanowisku, iż między dziedziną wiedzy i dziedziną wiary, między teologją a filozofją nie jest możliwe wytworzenie jedności. Treść przeżyć religijnych nie da się całkowicie wyrazić w granicach i na gruncie nauki, jak też i odwrotnie. Idem non potest esse simul scitum et creditum [5]).

Poważne zdobycze naukowe, obszerny materjał faktyczny, którym badacz rozporządza, a przedewszystkiem konieczność ciągłej korekty starych poglądów i pojęć wobec lawiny nowych odkryć i po-

[1]) C. E. Ayres - Science, the False Messiah cyt. wg. „Nauki Polskiej" t. XIII str. 212.

[2]) B. Russell — Poglądy i widoki nauki współczesnej przeł. J. Krassowski. Warszawa 1934.

[3]) J. Jeans—Wszechświat. Warszawa 1932.

[4]) Eddington — Nowe oblicze natury. Warszawa 1934. Str. 240.

[5]) Por. Ks. Słomkowski — Pojęcie filozofji chrześcijańskiej „Prąd" 1935 z. 1.

mysłów często wprowadzają na drogę pokuszenia stawiania zbyt śmiałych, raczej może zbyt pochopnych uogólnień. Tak np. zakwestjonowanie prawa przyczynowości przy elementarnych procesach atomowych pozwoliło na zupełne przekreślenie determinizmu w naturze. Jeden z najwybitniejszych współczesnych fizyków Heisenberg wręcz twierdzi, iż „natura czyni wolny wybór" przy wszelkich zjawiskach fizycznych. Wspomniany już Jeans mówi o możliwości swobody, o jakiej dotychczas nie mieliśmy pojęcia.

Podobnie w swoim czasie starano się całkowicie obalić zasadę zachowania energji, nie mówiąc o licznych drobniejszych koncepcjach, które w ogólności, podważając zasady dotychczasowego naukowego myślenia, stwarzają z nauki dziedzinę zupełnie nieokreśloną, pełną dowolności i nieoznaczoności. Zrozumiałem więc jest, iż na takim gruncie łatwo może się rodzić zwątpienie w jakąkolwiek istotną wartość tej strony ludzkich poczynań kulturalnych.

Na jak dalekie manowce zaszła współczesna myśl naukowa wskazuje szeroko podjęta w ostatnich czasach krucjata przeciw technice i zdobyczom ludzkim w dziedzinie dobrobytu materjalnego. Cały koncert współczesnych filozofów, podejmując zgodnie łabędzią pieśń cywilizacji, wskazuje jako na źródło zła — na maszynę. Antymaszynizm, antytechnicyzm — czy jak tam jeszcze można to nazwać — dają smutne świadectwo prawdzie, jak wielki upadek cechuje dzisiejszą naszą cywilizację. Jeżeli się wspomniało o manowcach myśli naukowej, która chce uzasadnić walkę z maszyną, to dlatego, że owe koncepcje filozofów są tylko wtórnym odgłosem bardziej pierwotnych zjawisk. Spoczątku maszyna przestała dawać zysk kapitaliście, a potem uczony stworzył teorję o jej szkodliwości. Gdy w roku 1918 O. Spengler napisał swoje ponure dzieło „Untergang des Abendlandes", wieszczące początek katastrofy naszej cywilizacji, nie znalazł wielkiego odgłosu w świecie, chyba tylko w swej przegranej ojczyźnie. Lecz gdy w r. 1930 w Ameryce zburzono 17 wielkich pieców o rocznej produkcji około półtora miljona ton, gdy w Anglji powstało towarzystwo do skupu i niszczenia stoczni, gdy w Niemczech zaczęto burzyć całe fabryki, gdy zaczęto redukować i niszczyć ilość warsztatów w różnych zakładach, bo były zamało rentowne, gdy kopalnie zaczęto zalewać wodą — wówczas ten sam O. Spengler wystąpił z nową książką „Człowiek i Technika", której słowa już padły na wdzięczny grunt. Cała plejada filozofów wystąpiła z oskarżeniem przeciw maszynie. Rozległy się wołania o powrót do pierwotnej gospodarki, więcej nawet — do barbarzyństwa! Mimowoli przychodzi na myśl powiedzenie Marxa, iż w dobie kryzysów niszczy się nietylko samą produkcję, lecz także i siły produkcyjne. Istotnie jesteśmy świadkami, iż nietylko niszczy się zapasy kawy, pali się zboże, topi się w morzu pomarańcze, lecz wytacza się proces maszynie za to, że... zbyt mało przynosi dywidendy kapitaliście. Bo pomijając najbardziej subtelne wywody ekonomiczne, trudno jest zrozumieć dlaczego obok miljonowych mas bezrobotnych, ginących w nędzy i głodzie, niszczy się środki ich egzystencji. Podświadomie odczuwamy, że jest w tem coś nie tak. A że nauka współczesna (zachodnio-europejska) poszła na służbę ciemnych sił kapitalizmu i tworząc teorję o panowaniu maszyny i jej winach, osłania tem samem główne sprężyny niesprawiedliwości społecznej — w tem leży jej upadek!

4. Niewola nauki. Przyzwyczailiśmy się uważać naukę za zupełnie autonomiczną dziedzinę ludzkiej działalności, obcą wpływom polityki, środowiska, walk społecznych i klas. Wobec doświadczeń ostatnich dziesiątków lat można jednak zgodzić się na twierdzenie marksizmu, iż nauka, jak każde inne zjawisko społeczne, jest zjawiskiem klasowem. Więcej nawet, można rzec, iż jest zjawiskiem, ściśle związanem z partją polityczną. W Z. S. R. R. sprawa ta już dawno została w ten sposób postawiona. „Ludzie bezpartyjni w filozofji są to takież same beznadziejne tępoty, co i w polityce" powiada Lenin [6]). W zachodniej Europie doniedawna partyjny charakter nauki był wstydliwie ukrywany. Dopiero brutalne doświadczenia faszyzmu i hitleryzmu w całej pełni fakt powyższy potwierdziły.

Dzisiaj nauka została całkowicie podporządkowana interesom jawnie lub skrycie rządzącej grupy ludzi. Jest obojętnem czy w drodze ustawy czy przymusu ekonomicznego zmusza się uczonego do zachowania określonej linji w swej pracy. Dosyć, że praca uczonego, może częstokroć pomimo jego własnej świadomości, jest uzgodniona z interesem ludzi, którzy owoce nauki wykorzystują do swoich celów. Autonomiczność i całkowita swoboda badań naukowych stała się fikcją, jakkolwiek często pozory zdecydowanie temu zaprzeczają.

Uzależnienie nauki od środowiska klasowego w różnych warunkach różnie się objawia. Np. w Anglji sięga ono aż do wychowania pracownika naukowego w czasie studjów. Warunki, w jakich żyje student angielski, szczególnie w bogatszych uniwersytetach, cała celebralność jego stanu i mur snobizmu, który go otacza, stwarzają takie szablony myślowe, które potem rzutują na całą działalność pracownika naukowego. Najjaskrawiej partyjny charakter nauki został podkreślony we Włoszech i w Niemczech. Czyż nie jest niewolą nauki, gdy się forytuje na katedrach miernoty prawomyślne, zaś ruguje się indywidualności, które w ramach partyjnego myślenia nie mogły zamknąć swoich ambicyj intelektualnych. Historja rozbratu faszyzmu z B. Croce jest w tej mierze aż nadto wymowna.

Hitleryzm jeszcze bardziej podkreślił związek nauki z partją, narzucając w formie zdecydowanej to, co stanowi bodaj największe pohańbienie współczesnej myśli naukowej: wysługiwanie się dzikiemu nacjonalizmowi. Jest rzeczą powszechnie znaną, do jakich absurdów doszła niemiecka antropologja i biologja, uzasadniając rasizm. Wydaje się nieprawdopodobnem to, co jest prawdziwem, że t. zw. prawda objektywna zależy od rozkazu głównej kwatery partji. Miał rację Bismark, gdy powiedział: „możesz czynić co ci się żywnie podoba — zawsze znajdzie się profesor, który nazwie to prawem odwiecznem i naturalnem". Niewątpliwie, że wszystkie dziedziny nauki, podobnie jak antropologja, są w Niemczech w służbie nacjonalizmu. Ideał „czystej", „nieuprzedzonej", „niezależnej" nauki zamienił się dzisiaj w ideał celebrowania słów „genjusza upraszczania" (Genie der Vereinfachung), Hitlera, jako go nazwał Goebbels.

Warunki socjalne, w jakich znajduje się współczesna nauka, stworzyły również twardą jej zależność od kapitału. Pomijając głęboko niemoralną intrygę handlową, której przedmiotem staje się uczony, pomijając zawiłe prawa patentowe i ustawy o trustach i kartelach — poza tem wszystkiem praca uczonego jest w olbrzymiej mierze zużytkowana przez wielki kapitał celem osiągnięcia pewnego zysku w drodze spieniężenia produktu myślowego badacza. Uczony w swej nieświadomości czasami nie widzi jakim celom służy jego wysiłek myślowy. W Ameryce liczne potężne trusty przemysłowe utrzymują wspaniale urządzone laboratorja, gdzie dziesiątki uczonych oddaje się „bezinteresownym" badaniom. Można to nazwać dobrodziejstwem dla nauki, ale można też i wziąć zjawisko z innej strony: od strony instytucyj i pracy uczonego i zysku kapitalisty, jaki ta praca daje. Metoda demoralizacji uczonego, przekupstwa i ekonomicznej presji jakże często staje się środkiem monopolizacji odkryć i wynalazków na rzecz wielkiego kapitału. Tak np. niemiecki przemysł barwnikowy płaci chemikowi pensję w ciągu trzech lat od chwili rozwiązania stosunku służbowego z fabryką, pod warunkiem, że w ciągu tego okresu nie odda swej wiedzy na usługi innego przedsiębiorstwa. Po trzech latach, jak słusznie rozumuje kapitalista, postęp zajdzie tak daleko, że ów uczony może sobie pójść do konkurenta, nie zagrażając interesom swego poprzedniego chlebodawcy.

5. Ekstrapolacja w przyszłość. Generalna rewizja form społecznych, w jakich dzisiaj żyjemy pozwala na mniej lub więcej prawdopodobne przewidywania i w dziedzinie nauki. Że stary mit o niezależności nauki w świetle współczesnego kryzysu całej cywilizacji traci zupełnie na wartości— staje się to coraz bardziej oczywiste. Dzisiaj można mówić o ideologji nauki jako całości, jakkolwiek niedawno jeszcze podobne skojarzenie pojęć wydawało się wręcz niedorzecznością. Otóż ta ideologja doznaje gwałtownego załamania się; przewodnia linja badań naukowych rozszczepiła się na niezliczone odgałęzienia, rozstrzelone w najrozmaitszych kierunkach, nieuzgodnione, często wzajemnie się zwalczające, a w rezultacie prowadzące do zamętu i chaosu, jaki się wytwarza już w życiu praktycznem. Ideologja współczesnej nauki jest szarpana przez rozszalałe namiętności klasowe i plemienne, jej praca dyskontowana jest przez najbardziej absurdalne wykwity zbankrutowanej współczesności. Podjudzana fetyszem specjalizacji nauka zagubiła się w labiryncie drobnomieszczańskich i wielkokapitalistycznych interesów. Mamy dzisiaj rzesze specjalistów, którzy nieraz osiągają wybitne rezultaty, lecz niema umysłów, które, by chciały w tem wszystkiem stworzyć jakąś jedność, połączyć to w jakąś całość ideową. Nikt jeszcze nie napisał „Summy" dzisiejszej wiedzy. Wszelkie usiłowania syntetycznego ujęcia całokształtu intelektualnego dorobku człowieka kończą się rezygnacją i stwierdzeniem iż w nauce dzisiejszej panuje anarchja. „Istotny skandal filozofji polega poprostu na anarchji systemów filozoficznych, na nieskończonem mnóstwie poglądów i ich niesłychanem pomieszaniu. Może to jest oznaką zbliżającego się dnia sądu nad filozoficznem obłąkaniem ludzkości" [7]).

[6]) Lenin—Materjalizm i empirjokrytycyzm. Moskwa, 1933 str. 234.

[7]) F. Kröner — Die Anarchie der philosophischen Systeme.

WITOLD NOWODWORSKI

ZAPOMNIANA STRONA WSPÓŁCZESNEJ KULTURY

Życie współczesne pełne sprzeczności i powikłań wysuwa zagadnienia, domagające się rozwiązania jak najszybszego. Kryzys, jaki przeżywamy, przesuwa punkt ciężkości zainteresowań współczesnego człowieka na zagadnienia ekonomiczne i społeczne, które przesłaniają inne problemy równie doniosłe i, co ważniejsza, bynajmniej nie będące w rozbieżności z poprzedniemi, a przeciwnie wydatnie popierające wysiłki człowieka w kierunku ich rozwiązania. Do nich zaliczam sprawy kulturalne, które „Pax" postawił, jako jedno z zagadnień, mających być przedmiotem rozważań na łamach pisma (zob. **Antoni Gołubiew**, *Linja i polityka katolickiego dziennika*. Pax r. 1934 Nr. 9).

Prasa będąca wyrazem opinji społeczeństwa mało poświęca uwagi zagadnieniom rozwoju nauki polskiej i jej organizacji, wśród których niemal całkowicie jest przez nią zapoznany problem życia bibljotekarskiego. Już w zaraniu państwowości polskiej w r. 1919 w II tomie Nauki Polskiej sprawę potrzeb bibljotek naukowych poruszał dyr. **Kuntze**. Dziś po 16 latach istnienia państwa polskiego i znacznego postępu na polu bibljotekarstwa niejeden z wysuniętych przezeń postulatów domaga się jak najszybszej realizacji; na czoło wysuwa się tu kwestja racjonalnego kupna książek. Chodzi nam przedewszystkiem o bibljoteki uniwersyteckie, jako najważniejsze może księgozbiory naukowe. Niskie dotacje, jakie otrzymują bibljoteki uniwersyteckie, uszczuplone ponadto w znacznym stopniu przez wydatki na konserwację i administrację zbiorów, czynią postulat zaopatrzenia się w najnowsze publikacje zagraniczne w nader szczupłej mierze tylko realnym. Siłą rzeczy trzeba było uciec się do innych sposobów zdobywania książek zagranicznych. Walną pomoc w tym względzie przynosi naszym bibljotekom wymiana wydawnictw.

Ale to oczywiście nie wystarcza.

Niezbędną rzeczą stała się współpraca bibljotek między sobą: zorganizowano wypożyczanie międzybibljoteczne nietylko z bibljotekami krajowemi, ale także niektórych państw obcych jak np.: Niemiec, Austrji, Czech, Norwegji, Szwecji i Szwajcarji, podjęto pracę nad centralnym katalogiem czasopism zagranicznych, znajdujących się w bibljotekach polskich, co pewien okres czasu wydawane są przez bibljoteki wykazy najnowszych nabytków. Jedynie sprawa reorganizacji bibljotek zakładów i seminarjów uniwersyteckich nie doczekała się dotąd realizacji. Częściowem tylko spełnieniem postulatów w tym zakresie jest centralny katalog czasopism zagranicznych, posiadanych przez bibljoteki jednego ośrodka uniwersyteckiego, jaki powstał dzięki pracom nad katalogiem ogólnopolskim. Kwestja natomiast jednolitej polityki zakupów w zakresie publikacyj zwartych wydawnictw, których zamknięcie zgóry się przewiduje (innemi słowy nieczasopism) nie doczekała się całkowitej realizacji.

Sprawą tą zajmował się w r. 1929 II Zjazd Bibljotekarzy Polskich w Poznaniu, poruszano ją niejednokrotnie na łamach czasopism fachowych, wysuwając projekty rozwiązania tego palącego zagadnienia.

„Najbardziej ujemną cechą bibljotek seminaryjnych — powiada **Kazimierz Dobrowolski** w artykule p. t. *Główne zagadnienia dotyczące bibljotek polskich* (Nauka Polska t. XV str. 300) jest ich wielka decentralizacja. Z każdą niemal katedrą wiąże się dzisiaj odrębna książnica organizacyjnie zupełnie samodzielna, której uzupełnianie następuje normalnie bez porozumienia się z centralną bibljoteką uniwersytecką, jak z innemi bibljotekami seminaryjnemi. Do innych ujemnych stron bibljotek seminaryjnych i zakładowych — pisze dalej **Dobrowolski** — należy zła zazwyczaj administracja techniczno-bibljoteczna z powodu braku facowego personelu, często przypadkowe uzupełnianie zbiorów, zależne od indywidualnych zainteresowań kierowników bibljoteki, wreszcie bardzo ograniczona dostępność". Z rozważań powyższych wysnuwa autor wniosek następujący: „Co do bibljotek seminaryjnych i zakładowych i t. p. pożądana jest daleko idąca komasacja w większe książnice na zasadzie pokrewieństwa treściowego".

Godząc się na ogólną ocenę sytuacji, miałbym pewne obawy, czy możliwa jest szybka realizacja postulatu **Dobrowolskiego**. Bibljoteki seminaryjne powstały niejednokrotnie drogą wysiłków profesorów, którzy nie szczędzili starań na gromadzenie książek, zaznaczając w ich doborze, układzie etc. swą indywidualność. Z istnieniem zatem bibljotek seminaryjnych jest związany psychologicznie uzasadniony sentyment ich twórców, ponadto projekt komasacji mógłby napotkać na znaczne trudności lokalowe. Zresztą małe zbiory bibljoteczne są bardziej dostępne dla czytelników, łatwiejsze są do opracowania pod względem organizacyjno-technicznym. (Katalog rzeczowy). Z zarzutów postawionych przez Dobrowolskiego bibljotekom seminaryjnym najbardziej ważki jest zarzut nieracjonalnego kompletowania zbiorów, brak uzgodnionej (nieraz przypadkowej) polityki zakupów. Ta sprawa domaga się przedewszystkiem wobec szczupłości funduszów na cele naukowe, jak najszybszego rozstrzygnięcia.

Główne źródło tego ujemnego stanu tkwi w decentralizacji kierownictwa oraz w braku centralnego katalogu bibljotek zakładów i seminarjów, któryby szybko informował, jakie książki w nich się znajdują. Najpilniejszym więc postulatem chwili bieżącej byłoby scentralizowanie polityki zakupów. Ale czy całkowite? Sądzę, że nie, gdyż ucierpiałaby na tem sprawność obsługi czytelnika. Rzeczą zatem wskazaną byłoby zakreślenie pewnych granic tej centralizacji. Tu siłą rzeczy nasuwa się koncepcja kierownictwa w obrębie wydziału. Wyobrażałbym ją w sposób następujący. Rady poszczególnych wydziałów wybierałyby z pośród grona profesorów opiekuna bibljotek seminarjów jednego wydziału. W jego ręku skupiałaby się polityka zakupów, postępująca w ścisłem porozumieniu z centralną bibljoteką uniwersytecką oraz opieka nad centralnym katalogiem podległych mu bibljotek. Do pomocy musiałby on mieć oczywiście fachowo wyszkolonego bibljotekarza, którego zadaniem byłoby sporządzanie kart katalogowych do do centralnego katalogu i do katalogów poszczególnych bibljotek zależnie od przeznaczenia nowonabytej książki i buchalterji. Rozdział funduszów dla poszczególnych bibljotek pozostałby w zasadzie bez zmiany. Jedynie zamiast bezpośredniego nabywania książek kierownicy bibljotek seminaryjnych składaliby swe dezyderaty na ręce opiekuna wydziałowego.

Jako zalety wyżej naszkicowanego projektu wysunąłbym następujące: 1) racjonalna polityka zakupów nowych książek, 2) rozpoczęcie prac nad sporządzeniem centralnych katalogów bibljotek w obrębie wydziału, które mogłyby z czasem stać się podstawą dla ogólnego centralnego katalogu, 3) ułatwienie pracy asystentom.

Ujemną jego stroną niestety jest to, że wymaga zaangażowania nowych sił pomocniczych, co pociąga za sobą koszta. Korzyści jednakże, zdaniem mojem, są tak znaczne, że na ten wysiłek finansowy powinno się zdobyć.

Do P. T.

Prenumeratorów Pax'u

Administracja dwutygodnika Pax poczuwa się do obowiązku najuprzejmiej przeprosić tych swoich prenumeratorów, którzy, mimo uiszczenia prenumeraty, otrzymali przypomnienie, wysłane z dn. 30.III. b. r. Ten bardzo przykry dla administracji incydent wynikł skutkiem zmian personalnych w administracji pisma.

Numer następny Pax'u będzie wydany z okazji 350 letniego Jubileuszu Sodalicyj Marjańskich staraniem wszystkich Sodalicyj Marjańskich w Wilnie.

ADMINISTRACJA PRZYPOMINA, ŻE W MYŚL OGŁOSZENIA Nr. 9 1934 R. 1-SZE PÓŁROCZE PRENUMERATY NASZEGO DWUTYGODNIKA KOŃCZY SIĘ Z DNIEM 31 MAJA.

STANISŁAW SZPINALSKI

SPRAWY SPOŁECZNE I GOSPODARCZE.

IDEE NOWEJ AMERYKI

Wstęp.

Korzystając z uprzejmie udzielonej przez Redakcję PAXu gościny, postaram się podzielić z Czytelnikami swemi wrażeniami z mej ostatniej podróży za ocean.

Byłem w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Sprawa t. zw. kryzysu ekonomicznego oraz związanych z tem zagadnień politycznych tak żywo interesuje wszystkich, że niesposób przejść nad nią do porządku dziennego nawet przy najbardziej wyczerpującem tournée koncertowem. Mam wielu wpływowych przyjaciół w Stanach, ludzi stojących na t. zw. „świeczniku" i trzymających rękę na pulsie życia politycznego swego kraju.

Interesowało zaś mnie przedewszystkiem zagadnienie „kryzysu idei".

Wydawało mi się bowiem, że obok t. zw. kryzysu **ekonomicznego** istnieje jednocześnie kryzys społeczny. Zdawało mi się, że oba te kryzysy wychodzą jeden od drugiego, że się nawzajem przenikają. Zdawało mi się również, że punkt ciężkości tych problematów przenosi się coraz bardziej na stronę kryzysu społecznego.

Jest jasnem, że dziś w Stanach zagadnienia ekonomiczne, pomimo że są tak palące, odeszły — do pewnego stopnia — na plan dalszy.

Ludzie myślący zrozumieli wreszcie, że leczenie objawów zewnętrznych choroby jest stratą czasu, że należy dotrzeć do przyczyn zła.

Zagadnienia amerykańskie muszą obchodzić żywo nas wszystkich w Europie. Klucz do rozstrzygnięcia tych wszystkich trudności, jakie zapędziły świat w ślepą uliczkę, leży w Ameryce.

Ameryka bowiem jest wierzycielem świata, Ameryka kontroluje 75% złota naszego globu, Ameryka wreszcie przodowała pod względem gospodarczym i wyprzedziła resztę świata conajmniej o trzydzieści — czterdzieści lat. Walka z kryzysem w Europie, dopóki Ameryka nie znajdzie wyjścia jest tylko t. zw. „kiwaniem palcem w bucie".

* * *

Jeśli chodzi o idee, to trzech najbardziej w Ameryce popularnych mówców walczy o zwycięstwo. Są to: katolicki ksiądz Coughlin, proboszcz parafji w Detroit, stolicy Forda, senator stanu Louisiana. Long, szef i twórca t. zw. N. R. A. (National Recovery Act) sen. Johnson. Ponad i poza nimi stoją takie postaci, jak prez. Roosevelt, sen. stanu Nebraska Norris, dr. Glenn Frank prezydent Wisconsin University, oraz słynny ekonomista Stuart Chase.

Postaram się Państwu pokrótce przedstawić, na czem polegają zasadnicze momenty walki i propagandy, prowadzonej przez tych ludzi, a sądzę że wnioski ogólne nasuną się same przez się. Zobaczą państwo, że pewna idea, jak czerwona nić przewija się przez wszystkie prawie przemówienia i poglądy.

Senator Long. A więc zacznijmy od słynnego senatora Longa. Sen. Long w dyktatorski sposób rządzi stanem Louisiana. Drogą nacisku wyborczego, który czasem polegał na dolarach, czasem na karabinach maszynowych, czasem na prostem dosypowaniu do urn wyborczych brakujących głosów — opanował on maszynę polityczną stanu Louisiana do tego stopnia, że ten stan uważa się dzisiaj za jego udzielne księstwo. Long jest najbogatszym człowiekiem na południu Stanów—królem ryby—„kingfish". Trzeba przyznać, że masy ludu są po jego stronie, poza Louisianą ma również setki tysięcy zwolenników. Long dąży do prezydentury Stanów, co napawa lękiem niektórych. Nazywają go amerykańskim Hitlerem.

Trzeba przyznać, że sam Long, na terytorjum, przez siebie rządzonem, postępuje zgodnie z propagowanym przez siebie programem. Trzeba przyznać również, że Louisiana pod jego rządami od r. 1929 najmniej ucierpiała podczas kryzysu. Oto kilka przykładów z jego działalności.

Długość szós i dróg dostępnych dla samochodów przed Longiem wynosiła w Louisianie nie więcej niż 150 mil. Dzisiaj 1500. Ilość studentów w Louisiana Univ przed Longiem—1500, dzisiaj ponad 5000. To znów z tego powodu, że nowe prawodawstwo stanowe udostępniło wyższe wykształcenie szerokim warstwom ludności. Podczas słynnego zachwiania się banków, w każdym stanie pękło mniejwięcej po 80 banków, w Louisianie tylko 5 i t. d.

To znaczy, że popularność Longa nie spoczywa tylko na karabinach maszynowych, lecz ma za sobą fakty. Karabiny były tylko punktem wyjścia. Rzućmy okiem na zasadnicze punkty programu Longa Pozwolę sobie w tej materji przytoczyć kilka wyjątków z jego przemówienia, wygłoszonego przez radjo i transmitowanego przez wszystkie stacje w Stanach, dnia 7 marca 1935.

„...Wiemy, dlaczego jest źle, wiemy, co należy naprawić. Wszystkie nasze nieszczęścia powstały z tego faktu, że zbyt duża ilość dóbr i bogactw pozostaje w posiadaniu zbyt szczupłej garstki ludzi. Widzimy, że mamy w naszym kraju za wiele żywności, za wiele tkanin, za wiele domów mieszkalnych, za wiele samochodów do sprzedania. Widzimy, że jednak, niestety, nieszczęście i trudność polega na tem, że w tym błogosławionym kraju obfitości ludzie cierpią z tego powodu, iż zbyt nieliczni posiadają i kontrolują pieniądz i bogactwo, a zbyt wielu nie posiada pieniędzy, by nabyć to, co im jest potrzebne do życia i komfortu. Twierdzę, że jedynym środkiem, który pozwoliłby stworzyć warunki niezbędne dla osiągnięcia minimum kulturalnego i ekonomicznego poziomu życia mas, jest ograniczenie rozmiarów fortun prywatnych i gwarantowanie minimum dostatku każdej rodzinie. Twierdzę, że jest nieludzką rzeczą pozwalać na to, by setki bel bawełny gniły, by lokomotywy były opalane pszenicą, by puste domy waliły się w gruzy, podczas gdy rzesze naszych rodaków cierpią głód, chodzą w łachmanach i nocują pod gołem niebem — tylko dlatego(!) że nie mogą kupić rzeczy, których potrzebują, a które inni posiadają i z których nie korzystają!

Żeby uprzystępnić Państwu zrozumienie obecnego stanu rzeczy pozwolę sobie przytoczyć kilka cyfr. Nic na świecie nie posiada lepszej wymowy niż cyfry.

Stopień bogactwa Stanów Zjedn. w r. 1910 był trzykrotnie większy niż w r. 1890, a jednak masy w r. 1910 były biedniejsze niż w 1890. W r. 1916 sytuacja była tak niepokojąca, że specjalna komisja kongresu St. Zjednoczonych stwierdziła w obszernym raporcie, 1° że 60% dóbr należy do zaledwie 2% ludn., 2° że 65% ludności posiada zaledwie 5% ogólnego bogactwa kraju. Ten sam raport stwierdził również, że istnieje jednak coś w rodzaju stanu średniego, — 33% ludn., do których należy 35% bogactwa kraju; stwierdził też oficjalnie, że należy się obawiać skutków takiego nagromadzenia dóbr w rękach kilku jednostek. Zapytam się państwa, czyśmy coś zrobili, aby zapobiec złemu, by powstrzymać groźny rozwój wypadków? Nic a nic!

Rezultaty? W chwili największego nasilenia t. zw. prosperity 1% ludności posiada 59% bogactw kraju (co jest dwukrotnie gorzej niż niby nieznośna sytuacja z r. 1916). A w chwili obecnej? 75% ludności nie posiada nic absolutnie, nawet możności zapłacenia swych długów, zaś 4% ludności, a nawet mniej posiada 95% bogactwa całego kraju! Teraz proszę przypomnieć, że w r. 1916 istniał jeszcze t. zw. stan średni (33%), który posiadał 35% bogactwa kraju. Dziś ta klasa ludzi zubożała. (Te 20% posiadające 5% bogactw). Ci ludzie powiększyli szeregi bandy najemników. Sytuacja jest przeraźliwie jasna. Kilku Panów u góry, masa ludzi nieposiadających nic absolutnie— u dołu! 125 milj. ludzi zasiada u stołu republiki Amerykańskiej, stołu zastawionego tak, że cała ludzkość mogłaby się pożywić, ale tylko kilka miljonów ma prawo jeść! Cóż się dzieje z resztą tej zastawy? Reszta jest w rękach Rockfellerów, Morganów, Mellonów, Baruchów, Vanderbildtów, Astorów! 600 rodzin posiada 90% całego bogactwa kraju. Ci ludzie nie mogą zjeść całej żywności, użyć wszystkich tkanin, jakie posiadają, wobec tego niszczą to! Palą, wrzucają do morza, popełniając w ten sposób rzeczy nieludzkie, wobec których sumienie się burzy! Jakże naprawić te rzeczy?

Tutaj przychodzimy do mego programu, który moi przeciwnicy nazywają szalonym. Niech państwo sami osądzą, czy to jest tak szalone. A więc **Plan Podziału Dóbr.** 1) Obcięcie każdej prywatnej fortuny do kilku (10?) miljonów dolarów. Dokonamy tego przez specjalną daninową ustawę. Między nami mówiąc nikt nie może posiadać w prawdziwem i pełnem tego słowa znaczeniu więcej niż 3—4

miljonów dolarów. 2) Proponuję, by nadwyżka tych fortun przeszła w posiadanie Stanów Zjednoczonych. Gen. Johnson ironicznie pyta mnie, w jaki sposób ta nadwyżka trafi do skarbu Stanów—otóż każdy z bogaczy otrzyma kwestjonarjusz do wypełnienia, w którym sporządzi wykaz wszystkich posiadanych przez siebie dóbr, z oceną takowych. Ocena ta będzie musiała być zatwierdzona przez rząd. W tym wykazie bogacz może zaznaczyć, co pragnie zatrzymać dla siebie — reszta pójdzie do skarbu. Dla przykładu weźmy trust rodziny Rockefellerów, którego majątek wynosi 10 miljardów dolarów w kopalniach ropy, w udziałach bankowych, fabrycznych, domach i składach towarowych. Każdy z Rockefellerów mógłby określić, jakiego rodzaju majątek chce zachować, lecz 9,900 miljonów pójdzie do skarbu. W ten sposób państwo przyjdzie do posiadania około 170 miljardów dolarów. (Według obecnych obliczeń). Mając taki majątek w ręku wróćmy do tych mniej więcej 25 miljonów rodzin amerykańskich, które nie posiadają nic. 3) Stworzylibyśmy coś w rodzaju **instytucji Ognisk Domowych**. Każda rodzina, każdy wchodzący w życie człowiek ma prawo do własnego ogniska domowego. Otóż każdy miałby możliwość założenia własnego ogniska domowego, z tem, że byłby posiadaczem, właścicielem byłoby państwo. „Ognisko domowe“ nie mogłoby być sprzedane ani za długi, ani za podatki, nie mogłoby być sprzedane nawet w normalny sposób za zgodą posiadacza, chyba tylko za zgodą sądu i pod tym warunkiem, że pieniądze, uzyskane ze sprzedaży byłyby użyte wyłącznie na stworzenie nowego ogniska. Użylibyśmy na „Instytucję Ognisk Domowych“ około 100 miljardów, zdobytych przez ustawę funduszów. Cóż poczniemy z tymi 70 miljardami, które nam pozostają? 4) Po urządzeniu tych 25 miljonów ognisk pomyślimy natychmiast o dzieciach i młodzieży, które są przyszłością narodu. Musimy dać możność wygód i higjeny we wczesnych latach i możność ogólnego i zawodowego kształcenia się w późniejszych. Jeśliby to było niezbędne, dalibyśmy każdemu dziecku kompletne utrzymanie i starania ogólne podczas jego okresu szkolnego, jeśliby się okazało że mieszka zbyt daleko od szkoły, jak to ma często miejsce, zwłaszcza w okręgach wiejskich. W Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie system, według którego przybory i pomoce naukowe są bezpłatnie dostarczane w szkołach powszechnych i uniwersytetach. Ale szkoły średnie? Są niedostępne dla ludzi mało zamożnych. Bez względu na to, jak zdolny może być chłopiec lub dziewczyna, jeśli nie mają pieniędzy, nie mają prawa do ogólnego wykształcenia w Ameryce dzisiejszej! A gen. Johnson twierdzi, że ja jestem zręczny i niebezpieczny demagog. Tak! Ale właśnie należę do tych, którzy nie mieli możności zdobycia średniego wykształcenia. Miałem trudności sam, więc dzisiaj w stanie Louisiana doprowadziłem do tego, że **wszystkie** szkoły są bezpłatne, we **wszystkich** szkołach podręczniki i pomoce naukowe są bezpłatne, **wszyscy** uczący się w szkołach mają prawo do bezpłatnych przejazdów kolejami i autobusami. Przy naszych warunkach zapisy do szkół wszelkiego pokroju wzrosłyby o 1000%. Proszę sobie wyobrazić zapotrzebowanie na kadry nauczycielskie i profesorskie. Proszę sobie wyobrazić, jak szczęśliwie czułaby się młodzież dzisiejsza, gdyby jej zapewniono spokojne i wygodne warunki domowe oraz możność kształcenia się.

5) Przejdźmy do następnego punktu naszego programu. Jakże zdobyć dochody i zarobki dla naszych współobywateli? Proponujemy skrócić godziny pracy ustawowo o tyle, o ile to będzie możliwe, dążąc do tego, by nikt nie pracował za dużo, albo by nikt nie został bez pracy. Być może tydzień pracy będzie się równał 30 godzinom, być może rok pracy będzie wynosił 11 miesięcy, jeden miesiąc przeznaczony na wakacje i odpoczynek. (Nie istnieje w Ameryce w powszechny sposób instytucja urlopów, najwyżej po dwa tygodnie. Przyp. autora). Jeśli nasze prace będą wymagały więcej godzin, powiększymy ich ilość—w każdym razie ilość godzin produkcji będzie skoordynowana z wymaganiami i zapotrzebowaniem rynku. Następnie im lepsze będą maszyny, tem mniej godzin pracy będzie potrzeba. Dalej pewne minimum dochodu musi być zapewnione każdej rodzinie, aby żyła w ludzkich warunkach i korzystała ze wszystkich dobrodziejstw naszej wspaniałej cywilizacji. Sądzę, że roczny dochód 2500 dol. dla każdej rodziny, posiadającej już ognisko domowe, w zupełności wystarczy. W tem miejscu z powodu fałszywych oświadczeń gen. Johnsona muszę powiedzieć państwu, że prodokuje się i zdobywa więcej bogactwa w Stanach niż trzeba, by zrealizować ten punkt naszego programu. Minimum 2500 dol. rocznie dla każdej z 25 miljonów rodzin stanowi około 50 miljard. dolarów rocznie. W latach 1925—1930 dochód roczny całej ludności Stanów wynosił około 90 miljardów! Tylko właśnie—jak to było rozdzielane! Więc nie będzie to chimerą marzyć, by każdy, kto ma rodzinę, miał 2500 dol. gwarantowanego dochodu rocznie! Jeden ze statystyków giełdowych z Wall Street stwierdza, że każda rodzina może mieć pewny dochód 10,000 dol. rocznie, jeśli chodzi o wartość produkowanego towaru. Uważamy, że przy użyciu ćwierci narodowego dochodu możemy przeprowadzić nasz program. A gen. Johnson twierdzi, że dochód narodowy nie przekracza 150 miljardów dol. rocznie. Chyba można zaufać oficjalnemu rzecznikowi giełdy i jej potentatów! Przejdźmy do reszty planu.

Sprawy rolnicze załatwimy w ten sposób: wyprodukujemy bawełny tyle, ile będziemy w stanie, tak samo postąpimy z pszenicą, bydłem, nierogacizną. Powiedzmy dla przykładu, że wyprodukujemy bawełny więcej, niż potrzeba. W tem miejscu muszę państwu powiedzieć, że gdyby każdy mógł kupić te wszystkie ręczniki, prześcieradła, dywany, firanki, jakich potrzebuje, to Ameryka może wchłonąć 20 miljonów bel bawełny rocznie, nie potrzebując nic sprzedawać zagranicą. To samoby było zapewne i z innemi działami rolniczej produkcji. Ale powiedzmy, że jest nadmiar, powiedzmy, że wyprodukujemy 15 miljonów bel bawełny, a rynek potrzebuje 10 milj., 5 miljonów bel nadmiaru złożymy do specjalnych składów rządowych za pokwitowaniem. Następnego roku znów to samo, następnego znów to samo. Okaże się, że po trzech latach mamy w składach 15 miljonów bel bawełny—to znaczy to, co jest nam potrzebne do rocznego spożycia. Cóż robimy teraz? — wstrzymujemy produkcję bawełny na rok! Cóż będą robić ludzie, co pracowali przy bawełnie? Jest moc rzeczy do zrobienia. Sieć dróg do rozbudowy, tamy, osuszanie bagnisk. Budowa i reparacja nowych składów, wreszcie każdy może poświęcić więcej czasu na jakieś studja dokształcające. To samo możemy zastosować i do innych gałęzi produkcji. Następny punkt programu: zapewnimy emerytury wszystkim, którzy osiągnęli 60 rok życia, a którzy zarabiają mniej niż 1000 dolarów rocznie lub posiadają poniżej 10.000 dol. majątku. To odciąży armję pracy. Fundusze niezbędne dla tych emerytur uzyskamy z **podatków, ściąganych z fortun powyżej miljona dol.**“

Oto co mówi sen. Long.

Generał Johnson. Przyjrzyjmy się teraz postaci gen. Johnsona. Ten znów był prawą ręką prez. Roosevelta w tworzeniu t. zw. N. R. A., to znaczy National Recovery Act (Ustawa o odbudowie narodowej). Gen. Johnson stracił „posadę“ na początku bieżącego roku, gdy okazało się, że administracja N. R. A., a raczej sama ustawa nie daje pożądanych wyników. Wiadomo, na czem polegała ta ustawa. Mianowicie cały przemysł, handel, oraz świat pracy zostały poddane surowemu rygorowi i kontroli. Ideą Roosevelta było, że aby zażegnać kryzys, który jego mniemaniem płynął z tego, że produkcja była zbyt wielka, a konsumpcja zbyt mała—należy odwrócić sytuację: zmniejszyć produkcję, powiększyć konsumpcję. Otóż początkowo zdawało się, że jest to słuszne. Całe życie ekonomiczne Stanów zostało poddane surowym przepisom. Fabrykant nie miał prawa oddalić ani jednego robotnika bez zgody administracji N. R. A., ani zwiększyć ilości godzin pracy. Płace zostały przymusowo podniesione, by zwiększyć siłę nabywczą szerokich mas. Były to wszystko zarządzenia niesłychane w swej drastyczności i niespotykane w dziejach Stanów. Jeden jedyny Ford oparł się temu, grożąc sprawą przed komisją senatu. Trudno było zresztą coś mu zrobić (chociaż ustawowo za nieprzestrzeganie przepisów NRA szło się do więzienia), boć zawsze to 4 miljardy dolarów majątku. Pozatem jego pracownicy byli zawsze najlepiej płatni. W czasie wykonywania tej ustawy były takie wypadki, jak ten z krawcem z Nowego Yorku, który zamiast wziąć 50 centów za prasowanie spodni policzył tylko 35, bojąc się stracić klijenta. Wsadzono go na 3 mies. do więzienia. Ford zaś wyszedł cało. Takie fakty, których oczywiście było mnóstwo, nie przyczyniły się do popularności NRA.

W dalszym ciągu wypadków okazało się, iż wielki przemysł znakomicie wyzyskał nowy porządek rzeczy. Roosevelt uratował przez swe rygorystyczne zarządzenia sytuację, a przemysłowcy „przegrupowali“ swe systemy produkcji w ten sposób, że dzisiaj rezultat jest taki, iż ciężki przemysł osiągnął już niemal 90% produkcji przed kryzysem, a bezrobotnych jest w tym roku o trzy miljony więcej.

Poprostu przemysłowcy, nie mogąc się opierać zarządzeniom władz, ulepszyli maszyny do tego stopnia, że właściwie efekt zarządzeń NRA jest żaden. W tym roku zanotowano 33 nowych miljonerów (obok 3 miljony nowych bezrobotnych). Ktoś makabrycznie powiedział w Ameryce, że pojawienie się każdego nowego miljonera powoduje usunięcie na ulicę około 100 tysięcy ludzi. Prez. Roosevelt pomimo najlepszych i najszlachetniejszych chęci utknął zdaje się w ślepej uliczce.

Niektóre zarządzenia NRA w zakresie obniżenia produkcji doprowadziły w rezultacie do takich dziwolągów, że jeden z moich znajomych farmerów otrzymuje od rządu 600 dol. rocznie za to, że

nie hoduje wieprzy! By podwyższyć cenę nierogacizny! Aluzje do tego znajdziemy w przytoczonych poniżej kilku wyjątkach mowy gen. Johnsona, wygłoszonej przez radjo dn. 4 marca 1935 r.

„2 lata upływa od powstania NRA, od objęcia rządów przez prez. Roosevelta. Ze smutkiem trzeba stwierdzić, że odbudowa ekonomiczna kraju stanęła na martwym punkcie. Zniknął gdzieś entuzjazm, wiara, a co najważniejsze jedność narodowa! Demokracja jest najlepszą formą rządu podczas pokoju i pomyślności — najgorszą podczas wojny lub wielkiego kryzysu. Dlatego też widzimy 6 dyktatorów w Europie. Naród amerykański, jak żaden inny, ma te niesłychane zalety demokratyczne w przełomowych chwilach, że wspaniale umie koncentrować swe wysiłki, aby osiągnąć upragniony cel. Zdawało się dwa lata temu, że tak będzie i teraz. Niestety, tak nie jest. W chwili obecnej jedność znikła. Jakież są tego powody? Wskażę na **trzy grupy, trzy kierunki,** które bróżdżą w dziele odbudowy. **I-szy** to tak zwana **stara gwardja.** Ci ludzie siedzieli cicho, jak mysz pod miotłą, gdy otchłań otworzyła się przed nimi w 1933 r. Teraz znów wracają do starych kawałów i sposobów. Niczego się nie nauczyli, niczego nie zapomnieli. Uważali, że prywatna własność i zyski są na pierwszem miejscu, i że ludzkość „da sobie radę". Sądzą oni, że gospodarstwo narodowe nie może być oddane pod kontrolę narodową, że koniecznie musi być pod kontrolą grupy spryciarzy, którzy dopiero później zechcą dopuścić do resztek... Stary kawał, bardzo stary! Sama myśl o tem już dzisiaj jest upoważnieniem do rewolty! **Druga grupa, to emocjonaliści.** Ich wybitnymi przedstawicielami są: **sen. Long i ks. Coughlin.** Ci rządzą się uczuciem, nie zdrowym rozsądkiem. Nic nie obchodzi ich forma taka czy inna rządu, który stoi na drodze ich odruchowych pomysłów. Są oni jak zawsze gotowa pochodnia, którą każdy wiatr zapali, byleby wiał mocno i z „właściwej" strony. Niebezpieczeństwo, grożące ze strony tych ludzi, jest wielkie i polega na tem, że każdy desperat może się do nich przyłączyć. Biorąc pod uwagę wszystkich tych, którzy wylecieli ze swych sklepików, posad, zbankrutowanych farmerów, i innych—**naliczymy takich desperatów w naszym kraju około 30 miljonów!** Uderzą oni w każdym kierunku, wystarczy im wskazać gdzie! W ciągu dwóch lat NRA ci ludzie łudzili się, że znajdziemy wyjście z sytuacji — teraz — a zawdzięczamy to starej gwardji — widzą oni, że utknęliśmy na martwym punkcie i zaczynają się niecierpliwić. 2 lata temu było źle, ale teraz jest 100 razy gorzej. Bo teraz mamy dwóch grajków z bajki, którzy przyszli czarować te 80 miljonów „płaczących dzieci". Treść ich oświadczeń nie jest niebezpieczna, forma jest niebezpieczna. Posłuchajmy: „5000 dol. rocznego dochodu dla każdego (jak widzimy 2500, nie 5000 przyp. aut.), albo „Każdy człowiek — król!" (książka Longa). Jest to równie pozbawione sensu, jak „dwa auta w każdym garażu" lub „dwie kury w każdym garnku" — co się skończyło zresztą na dwóch kurach... w każdym garażu. Osobiście bardzo lubię Longa, uważam, że jest najwspanialszym klownem w Stanach, bardzo mnie bawi.

Ale ks. Coughlin jest stokroć niebezpieczniejszy. Prowadzi swoją robotę polityczną z ambony (nieprawda! przyp. aut.), korzysta z tego, że jest kapłanem i może poprzeć swe argumenty cytatami ze Starego i Nowego Testamentu. Przeciwko temu należy wystąpić stanowczo. Otóż ci ludzie obiecują rzeczy niesłychane, tylko niestety nic nie mówią o ich realizacji. Najniebezpieczniejszym rewolucjonistą na świecie jest rewolucjonista szczery. Im szczerszy, tem niebezpieczniejszy. Cóż mamy począć w takiej sytuacji? Jedyne co nam pozostaje, to iść dalej, rozbudować NRA, powiększyć grono partyzantów prez. Roosevelta. Ludzie ci uważają, że rząd ten jest dobry, że musi mieć jedynie zdolność do przystosowania się do zmieniających się ciągle warunków. Sądzą oni, że **system własności i zysków prywatnych musi być zachowany, ale że człowiek jako taki musi na pierwszym planie i musi być pod opieką najbardziej troskliwą. Sądzą oni, że ten kraj i jego bogactwa należą w pierwszym rzędzie do ludu Stanów Zjednoczonych, a nie są uzyskane z łaski jakichś macherów. Sądzę, że gdy stary system polityczny opada, jak liście z drzewa jesienią, jedyną drogą jest droga kompromisu i gibkości grupy rządzącej.**

Tyle gen. Johnson.

Ksiądz Coughlin.

Zajmijmy się teraz osobą ks. Coughlina. Jest on proboszczem w Detroit. Nie bez powodu właśnie z Detroit wyszedł nowy działacz. Detroit — to stolica króla samochodów Henry Forda. Największe i najbardziej nowoczesne zakłady przemysłowe na świecie. Formy produkcji, system i organizacja pracy (słynny tayloryzm tam właśnie po raz pierwszy został zastosowany), również najbardziej nowoczesne. Ks. Coughlin już od kilku lat był słynny dzięki swym kazaniom, w których podnosił wszystkie sprawy, które mogły obchodzić jego parafjan. Gdy zaszła potrzeba rozpoczęcia akcji już czysto politycznej, ks. Coughlin przemawia dzisiaj tylko w lokalach publicznych, jako „pan" Coughlin, amerykański obywatel. Tak, że twierdzenie gen. Johnsona, że ksiądz używa ambony jest, delikatnie mówiąc, niezgodne z prawdą. Ilość stronników jego rośnie tak szybko, że zawiązano już nowe stronnictwo pod nazwą „Związek Narodowy Sprawiedliwości Społecznej". Stronnictwo ma już własny lokal i własną stację radjonadawczą. Ks. Coughlin otrzymuje taką ilość korespondencji, że 100 osób codzień zajmuje się sortowaniem tych listów. Trzeba dodać, że wszystko to zostało ufundowane ze składek członkowskich robotników i biuralistów.

Ks. Coughlin cieszy się przedewszystkiem popularnością wśród ludzi ulicy. On broni interesów tych właśnie 80 miljonów „płaczących dzieci", jak się wyraził gen. Johnson. Posłuchajmy, co mówi ks. Coughlin, **jak naprawdę wygląda gmach kredytu i obrót pieniężny w Stanach.** Jest to odpowiedź na oświadczenie gen. Johnsona, że ksiądz „chce robić pieniądze z niczego". Przemówienie było wygłoszone przez radjo. (Największa organizacja radjowa w Stanach—NBC) dnia 11 marca 1935 r.

„Handlarze, których Książę Pokoju wypędził słowem i czynem ze świątyni jerozolimskiej, zbierają swe siły pod przewodnictwem tego śmietankowego generała, tego czekoladowego żołnierza, który nigdy nie widział nieprzyjaciela i nigdy nie wąchał prochu. „Narodowy Związek Sprawiedliwości Społecznej" jest zdecydowany odeprzeć wszystkie ataki i będzie walczyć o ludzkie prawa dla wszystkich. Celem naszego Związku jest zdobyć ekonomiczną wolność dla naszego ludu! To jest nasze credo. Lud, to te 80 miljonów „płaczących dzieci", jak mówi czarująco gen. Johnson. Jeśli gen. obawia się, że ich może ogarnąć desperacja, że oni mogą ulec podszeptom „grajków z bajki", niech sobie przypomni, że to nie oni skoncentrowali bogactwa w jednym ręku, że nie oni zapędzili 22 miljony głodujących kobiet i dzieci do kolejek, czekających na codzienną rację chleba, że nie oni są odpowiedzialni za wyrzucenie 11 miljonów pracowników na ulicę. Gen. Johnson, polityczny trup, smutny odpadek NRA, oraz giełdziarze, których on reprezentuje, przejdą do historji, jako fałszerze prawdy i wrogowie logiki. Generale! Pan nie potrzebuje stawiać mnie pod pręgierzem opinji publicznej, opinja publiczna **Pana** już potępiła. Milczący świadkowie w postaci tych 80 miljonów, jak Pan sam powiedział „płaczących dzieci", są dostatecznem potępieniem. Oskarża mnie Pan, generale, że chcę zrobić pieniądz z niczego. Wiem, kto Pana pouczył tak mówić. Jest to twój pan, generale, Bernard Manasses Baruch, że pozwolę sobie wymienić jego pełne imię i nazwisko. Z nim, oraz jego sprzymierzeńcami, jak Rothschildowie, Lassere'owie, Warburgowie, Morganowie — z całą tą bandą międzynarodowców, których bogiem jest złoto, a emblematem czerwony szyld (rotszyld-gra słów) eksploatacji—będziemy walczyć do ostatka. Jeśli Pan twierdzi, że chcę robić pieniądze z niczego, to przypomnę panu, jak to się robi pieniądze i co to jest pieniądz w Stanach.

1) Wiadomo, że pieniądz jest tylko środkiem, przy pomocy którego dobra i towary mogą być przewożone z miejsca na miejsce. Nie jest żadnem bogactwem sam w sobie.

2) W przeciągu lat 100 zgórą naród amerykański zezwolił małej garstce prywatnych ludzi na robienie pieniędzy, a w ten sposób na kontrolę przypływu i odpływu bogactw. Wielu spośród nas zaczęło myśleć, że pieniądze są bogactwem same w sobie, podczas gdy były tylko środkami lokomocji, który przenosił dobra od producenta do konsumenta. Są trzy rodzaje kapitalistycznych pieniędzy: kruszec, banknoty i kredyt. Te formy są w monopolistycznem posiadaniu bankierów. W okrągłych cyfrach te pozycje w naszym kraju przedstawiają się w sposób następujący: a) 9 miljardów dol. kruszcu w Skarbie, b) 5½ miljar. banknotów w obiegu, c) oraz 250 miljardów w postaci hipotek, pożyczek, zastawów i t. d. 90% naszych pieniędzy, to pieniądz książeczek czekowych. Bo przecież pieniądz kredytowy to pieniądz czekowy.

Jakże powstaje ten pieniądz czekowy? Wyobraźmy sobie, że grupa zamożnych ludzi prosi rząd o pozwolenie na bank.

3) Petenci składają w Skarbie Państwa 100 tys. dol. Skarb wydaje im 4% obligacje, które zatrzymuje w depozycie również jako gwarancję. Procenty należą oczywiście do bankierów.

4) Bankierzy wracają do swego miasta i otwierają bank. Posiadają 100 tysięcy dolarów papierowych pieniędzy, które im rząd wydrukował,

5) Pan Jan Janowski przychodzi do banku z prośbą o pożyczkę

10 tys. dol., które otrzymuje, płacąc 6% i dając jako gwarancję swoją farmę, która jest warta 20 tysięcy.

6) Wtedy bankier daje Janowi Janowskiemu książeczkę czekową, (nie pieniądze prawdziwe, proszę o tem pamiętać!) i natychmiast wpisuje do swych ksiąg, że zdeponowano w banku sumę 10 tysięcy dolarów. Podczas gdy w istocie jest to nie depozyt a pożyczka.

7) 50, 80, 100 Janów Janowskich przechodzi przez tę operację, aż bank, który rozpoczął swe interesa ze 100 tys. dolarowych banknotów, udzielił pożyczek na sumę 1 miljona dolarów. Wobec tego pierwszy rok operacyj bankowych przyniósł bankierom 60 tys. dol., podczas gdy inwestowano początkowo pieniędzy 100 tys., które leżąc w Waszyngtonie, przyniosły im drugie 4%!

8) Przytem Piotr Piotrowski, Paweł Pawłowski i tysiąc innych sąsiadów składali swe oszczędności w banku swego miasta. Myśleli że pieniądze ich są bezpieczne, że bank wypłaci im je na każde zawołanie! Niestety Jan Janowski i towarzysze nie przeczytali tego, co było wydrukowane na końcu książeczki bankowej. Gdyby przeczytali, toby się dowiedzieli, że **w istocie nie zdeponowali swych pieniędzy, lecz pożyczyli je bankierom. Stali się wierzycielami, czyli będą ponosili ryzyko w odbiorze swych pieniędzy narówni ze wszystkimi zwykłymi wierzycielami.**

9) Tymczasem bank bankierów, Federal Reserve Bank, skonstatował, że pożyczono za wiele pieniędzy. Czas było żądać zwrotu pożyczek i zamknąć kredyt. Kazano Janowi Janowskiemu, Piotrowi Piotrowskiemu i t. d. zwrócić otrzymane pieniądze, ale tym razem, proszę państwa, zwrócić je w gotówce, a nie w czekach. W jednym i tym samym czasie wydarzyło się to w całym kraju. 10, 15, 30 miljardów trzeba było zwracać, podczas gdy w obiegu było tylko 5½ miljarda. Cóż się dzieje? Sytuacja bez wyjścia, depresja. Gmach bankowo-kredytowy, ten kolos na glinianych nogach zachwiał się.

Bankierzy, nie mogąc dostać gotówki, a posiadając w rękach zastawy i hipoteki, sprzedali farmy, warsztaty za te pieniądze, które można było wydusić. Otrzymawszy świeżą gotówkę, wykupili swe obligacje w Waszyngtonie. Operacja była zakończona. Oczywiście drobni bankierzy nie wytrzymali również załamania się gmachu kredytowego, ale „grube ryby" nietylko wytrzymały, ale nawet zarobiły, i to nawet bardzo dobrze! Oto jak się robi pieniądze „z niczego", generale. **Ameryka będzie apostołem nowej ery. a) świat starożytny wywalczył wolność fizyczną człowieka, b) walki średniowieczne wyzwoliły z niewoli roli, c) Magna Charta była pierwszym sztandarem wolności politycznej. Otrzymaliśmy już wolność fizyczną, rolną i polityczną. Ludzkość musi zdobyć wolność ekonomiczną. a) Palestyna dała nam naszą wiarę, nadzieję i miłosierdzie, b) Grecja dała nam swoją kulturę, c) z Rzymu przyszło prawo, porządek i zmysł kolonizacji, d) Hiszpanja i kraje północne rozpowszechniły te zdobycze po całym świecie. Cóż jest przeznaczeniem Ameryki? Jedna jest tylko odpowiedź: Do nas, wielkiego wierzyciela świata, kontrolującego dziś złoto globu, do nas należy zaszczyt zrobienia decydującego kroku na drodze do niezależności ekonomicznej i wolności finansowej. To jest zadaniem „Kolumbji", do tego was wszystkich wzywam".**

Tyle ks. Coughlin.

* * *

Jak można już było spostrzec, zasadnicze momenty dyskusji, jaka się toczy teraz w Ameryce, przenoszą się coraz bardziej raczej na stronę moralną. Tak! Amerykanie nareszcie zrozumieli, że trudności i powody dzisiejszego kryzysu leżą raczej w płaszczyźnie moralnej, a nie materjalnej, oraz **że kryzys zaczął się już przed wojną.** Materjalne niedomagania są tylko odzwierciedleniem i skutkiem niedomagań moralnych. Otóż stwierdzić należy, że i **senator Long i ks. Coughlin, mają nową ideę i starają się o nową moralność ekonomiczną. Bo przecież moralność jest tylko zmysłowym wyrazem ponadzmysłowych idei!** Błąd, jeśli tak można powiedzieć,—bo prez. Roosevelt jest człowiekiem wysoce szlachetnym i mądrym, który osobiście w orędziu do senatu z dn. 25 lutego 1935 również ostro wystąpił przeciw gromadzeniu się bogactw w rękach jednostek, wystąpił przeciwko Trustom i Prywatnym Monopolom,—więc błąd prezydenta może polegał na tem, że niedostatecznie wziął pod uwagę strony moralnej zagadnienia, a zbyt zaufał pomysłom mechanicznego raczej rozwiązania problemu. „Mniej produkcji, więcej zarobków i wyższe ceny".

Dr. Glenn Frank, rektor uniwersytetu stanu Wisconsin, wybitny członek stronnictwa republikańskiego twierdzi, że **to nie jest postępowa formuła — mniej towarów, wyższe ceny!** On sądzi, że to jest wstecznictwo, że prawdziwie postępowa formuła — a wszystkim nam przecież chodzi o postęp — byłaby: **„Więcej towarów — niższe ceny".** Pozatem zdaje się prez. Roosevelt znalazł się pod wpływem odłamu t. zw. „Starej Gwardji", o której wspominał gen. Johnson. W każdym razie bez względu na to, co byłoby tego przyczyną, prace nad odbudową gospodarki Stanów Zjednoczonych natrafiają na coraz większe trudności, a jak gen. Johnson kategorycznie twierdzi, stanęły na martwym punkcie.

Rozmawiałem z wieloma wybitnymi ludźmi oraz t. zw. ludźmi ulicy podczas mego pobytu tegorocznego w Stanach—prawie wszyscy ludzie mówią, że ks. Coughlin ma rację! Nie spotkałem nikogo, ktoby pochwalił Johnsona.

Podczas wizyty u mego przyjaciela, gubernatora jednego ze stanów, rozmawiałem z nim dużo o sprawach politycznych. Wypytywał mnie o nastroje młodzieży europejskiej. Pozwoliłem sobie powiedzieć mu, że uważamy tutaj, że nieporządek tkwi w porządku raczej moralnym, niż materjalnym, że wobec tego, dziwimy się, że w stanach są jeszcze ludzie, którym się zdaje, że wystarczy, aby prezydent Roosevelt pocisnął jakiś guzik, lub podkręcił kontakt—a znów znajdziemy się w „prosperity". Na to mój przyjaciel, który pochodzi z wybitnej rodziny politycznej i jest założycielem nowej partji, t. zw. „New Progressive Party" (znacząca nazwa!) uśmiechnął się i powiedział, że **Roosevelt dużoby dał, aby się dowiedzieć, jaki guzik należy pocisnąć!** Czy to nie jest znaczące?

Nic więc dziwnego, że teraz w Ameryce odbywa się bitwa między ideami, walka o nową moralność ekonomiczną, o wolność ekonomiczną ludzi, jak mówi ks. Coughlin. Dlatego też, chociaż pomysły tych ludzi są bardzo emocjonalne, jak mówi gen. Johnson, jednak coraz więcej t. zw. „płaczących dzieci" idzie za niemi, bo myślą przewodnią walki jest osiągnięcie sprawiedliwego, uczciwego i bardziej rozsądnego podziału dóbr! Sen. Long i ks. Coughlin mają już miljony zwolenników. Mam wrażenie, że od tego, jaki będzie wynik walki, zależą do pewnego stopnia losy świata. Bo jak słusznie powiedział ks. Coughlin, Ameryka jest wierzycielem świata, panuje nad jego złotem. Stan rzeczy w Ameryce przypomina do pewnego stopnia stan rzeczy we Francji przed Wielką Rewolucją. Magnaci posiadają prawie wszystko, masy u dołu nie posiadają prawie nic. Z tą różnicą na gorzej, że niema prawie stanu trzeciego. Kto wie, czy z Ameryki nie wyjdzie nowa Rewolucja, która w dziejach świata odegra niemniejszą rolę, jak francuska.

(*Ostatnio w sprawach amerykańskich drukowaliśmy*: **Jan Rutski**— *W kraju tymczasowego komunizmu Nr. 4*, **w. r.** *Skrótomanja Nr. 8*).

Artykuł niniejszy, jest drugim z rzędu artykułem pióra St. Szpinalskiego w „Paxie", poświęconym sprawom amerykańskim. Pierwszy, zamieszczony w poprzednim numerze, zawiera uwagi autora, wybitnego muzyka — pjanisty, na temat ruchu muzycznego w Ameryce.

NOTATKI

W dniach 28 — 31 lipca b. r. w Brukselli odbędzie się Międzynarodowa Konferencja Katolicka pracy społecznej zorganizowana przez Katolicki Międzynarodwy związek pracy społecznej (Union International Catholique du Service Sociale). Będzie miało na celu podanie do wiadomości działalności Związku i jej wyników, zaznajomienie z pojęciem katolickiej służby społecznej i wykazanie jej konieczności.

* * *

Również w Brukselli, w czasie wystawy międzynarodowej odbędzie się Kongres międzynarodowy wychowania rodzinnego (C. internationale l'Education Familiale). Omawiać będzie zagadnienia pedagogiki rodzinnej w szczególności zagadnienie kształcenia charakteru.

* * *

Nauka współczesna zwraca dziś coraz większą uwagę na zagadnienie kultury. Nadesłano nam ciekawą książkę Florjana Znamieckiego p. t. „Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości". (Książnica—Atlas). Książce tej poświęcimy niebawem obszerniejsze omówienie.

* * *

Winter, E. K. Die Sozialmetaphysik der Scholastik 1934.

W łonie scholastyki odbywało się ciągłe różniczkowanie sfery duchownej i świeckiej a również rozróżnianie metody teologicznej myślenia. Ten dualizm jest kluczem do zrozumienia problemów nowszej i dawniejszej scholastyki.

STANISŁAW BARDASZ

WALKA Z KRYZYSEM

Wywiad, udzielony redakcji „Pax'u“ przez Dyrektora Międzynarodowych Targów Poznańskich, p. barona Stefana Roppa.

Pan Dyrektor Ropp, po kilku życzliwych uwagach na temat „Pax'u“, bezpośrednio przechodzi do właściwej kwestji, związanej z moją u niego wizytą — kwestji targów poznańskich.

— Targi odgrywają znacznie większą rolę niż to się uzewnętrznia — z tego względu, że służą w pierwszym rzędzie poszukiwaniom nowych tematów pracy przez wytwórnie i są wobec tego kluczem do przestawienia produkcji.

Kryzys gospodarczy w początkach ubiegłego stulecia przezwyciężyły wynalazki maszyny parowej i warsztatu tkackiego.

Kryzys obecny przezwycięży się również wyłącznie wysiłkiem myśli, a nie sztucznem normowaniem konsumpcji i nie sprzeciwianiem się postępowi. Dlatego też wszelkie formy pomocy dla ujawniania i rozpowszechniania postępu myśli stwarzają podstawę dla przezwyciężenia kryzysu.

Przestawienie produkcji powoduje przezwyciężenie bezwładu, jaki w popycie mas stworzył kryzys. Imaginacja walczy z bojaźnią i zwycięża.

Widzimy oznaki tego rodzaju ujęcia walki z kryzysem dotychczas jedynie w Ameryce i Niemczech, gdzie np. cała akcja wytwarzania samochodów, jakie demonstrowano w salonie berlińskim, w cenie 850 marek, stwarza zupełnie nowe gałęzie masowej konsumpcji. Tak samo, jak w Ameryce lampowy selekcyjny odbiornik, w cenie osiemdziesięciu paru złotych, stworzył wzrost zatrudnienia w tym dziale — w ilości robotników, równej całemu bezrobociu w Polsce.

Tym konkretnym formom walki z kryzysem służą Targi, które wszelką nową myśl ujawniają i udostępniają producentom, zarazem pozwalając tym ostatnim na sprawdzenie opinji kół kupieckich, co do ewentualnej siły popytu na nowy produkt. Kupiec występuje tu jako jedyny istniejący fachowiec, umiejący ocenić wzmaganie się lub zanikanie w masach popytu na pewne formy produkcji.

Kupiec jest ekspertem, który prowadzi fabrykanta po zawiłych drogach psychiki szarego człowieka.

W związku z tem widzimy na tegorocznych Targach ogromne wzmocnienie przestawienia produkcji polskiej na nowe, dotychczas nie produkowane towary, które rodzima wytwórczość w 18 działach udostępni ogółowi.

Na osobną wzmiankę zasługuje w nowych działach **dział wynalazków** opatentowanych lub zastrzeżonych, lecz nie produkowanych.

Wśród wynalazków ogólne zaciekawienie wzbudza demonstracja trójwymiarowego kina.

Przewiduje się udział około 200 wynalazców.

Dalszym nowym działem na Targach jest **ochrona pracy,** na którą przemysł polski traci rocznie w odszkodowaniach blisko 100 miljonów zł.

Wynika stąd, że przyrządy ochrony pracy są bodajże najlepszą inwestycją przemysłu.

Ogromny **dział rzemiosła,** dzielący się na 65 sekcyj jest organizowany przez Związek Izb Rzemieślniczych, które dadzą złote, srebrne i bronzowe medale za najbardziej celowe, estetyczne i tanie wyroby rzemieślnicze w 6 działach.

W tem miejscu poruszamy na marginesie wywiadu kwestję chałupnictwa. Kwestją tą p. Dyr. Ropp żywo się interesuje, a materjał do jej wszechstronnego oświetlenia już ma w połowie zebrany. Na przyszłych Targach będzie to nowy dział. Zadaniem jego będzie znalezienie rozwiązań dla kwestji wyzysku pracujących w przemyśle chałupniczym i wskazanie możliwości organizacji tegoż na zasadach obopólnej korzyści, a nie krzywdy społecznej.

W dalszym ciągu p. Dyr. Ropp obrazuje udział państw obcych.

—Udział w Targach zgłosiło 22 państwa. Oficjalnie Francja, Niemcy, Hiszpanja, Rumunja, Jugosławja, Szwecja, Brazylja, Meksyk, Kolumbja, Palestyna, Indje Brytyjskie i in.

Po raz pierwszy na Targach Poznańskich dochodzi do skutku jednorazowa kompensata handlowa jako bilateralny układ między dwoma państwami, uwzględniającemi dwa Targi, w tym wypadku Targi Poznańskie i Targi Wrocławskie. Suma tej transakcji dosięga 5 miljonów zł. i stanowi pierwowzór do akcji werbowania wystawców zagranicznych. Stwarza to dla nich możliwości nieszkodliwego dla Polski importu, a równocześnie daje—na taką samę sumą — nie tylko możliwość, lecz pewność polskich towarów. W ten sposób tworzy się pracę w kraju, a to właśnie jest głównem zadaniem Targów.

Suma ca 30 miljonów obrotu zeszłorocznego transakcyj, bezpośrednio na Targach wykonanych, jest tylko ułamkiem ich znaczenia ogólnego dla produkcji właśnie w dziedzinie nowych tematów pracy i zwiększenia ogólnego popytu. W tem też należy widzieć przyczynę, dla której Targi Poznańskie jasno swój cel widzą i ku niemu dążą, nie tylko trwając w kryzysie, lecz w piątym jego roku będą największe, jakie kiedykolwiek w Polsce się odbyły.

Uwzględniając w działalności „Pax'u“ silnie podkreślany moment również i gospodarczej współpracy pomiędzy zachodniemi i wschodniemi połaciami kraju, trudzę jeszcze p. Dyr. Roppa pytaniem, dotyczącem tej kwestji. Przedewszystkiem idzie mi o charakterystykę szerokich możliwości ekspansji gospodarczej północno-wschodniej Polski.

Już w następnej chwili notuję.

— Zespoleniu gospodarczemu Polski służą Targi Poznańskie w sposób szczególnie skuteczny, albowiem sprowadzają do jednego mianownika wszystkie dążenia ekspansji Polski. Ponieważ te właśnie dążenia na kresach wschodnich w kilku dziedzinach produkcji są nadwyraz skuteczne, że wymienię przemysł drzewny, dykty, przemysł lniany, rzemiosło wileńskie i grodzieńskie, terpentynę i chemiczny przemysł pochodny destylacji drzewa, rękawicznictwo i t. d. — przeto jasnem jest, że Targi, jako okno doświadczeń ekspansji na świat, mogą w pierwszym rzędzie na kresach wschodnich służyć jako tania płaszczyzna doświadczeń tej ekspansji.

Naogół bowiem koszt udziału w Targach przeciętnie wynosi 1‰ obrotu i jako taki jest niebywale tanim instrumentem handlowym.

Ważne to jest dla przemysłu niezasobnego w kapitały obrotowe i kredyty, jakim właśnie jest przemysł na kresach wschodnich.

Zadaję wreszcie ostatnie pytanie. Dotyczy ono roli, jaką odgrywa prasa w tego rodzaju poczynaniach gospodarczych.

— Prasa wpływa na opinję w dwojaki sposób:

Po pierwsze naświetla zagadnienia i, o ile chodzi o Targi, może wskazać wyżej nakreśloną ich rolę, której społeczeństwo naogół nie docenia.

Po drugie — prasa, jako jeden z najważniejszych czynników reklamy, powinna na samych Targach pouczyć zarówno przemysłowca jak i hurtownika o rentowności racjonalnej reklamy, która została najzupełniej przyćmiona przez nieracjonalne formy akwizycji reklamy prasowej, operującej motywami, które z rentownością gospodarczą nie mają nic wspólnego i które oduczają ludzi od tejże reklamy prasowej.

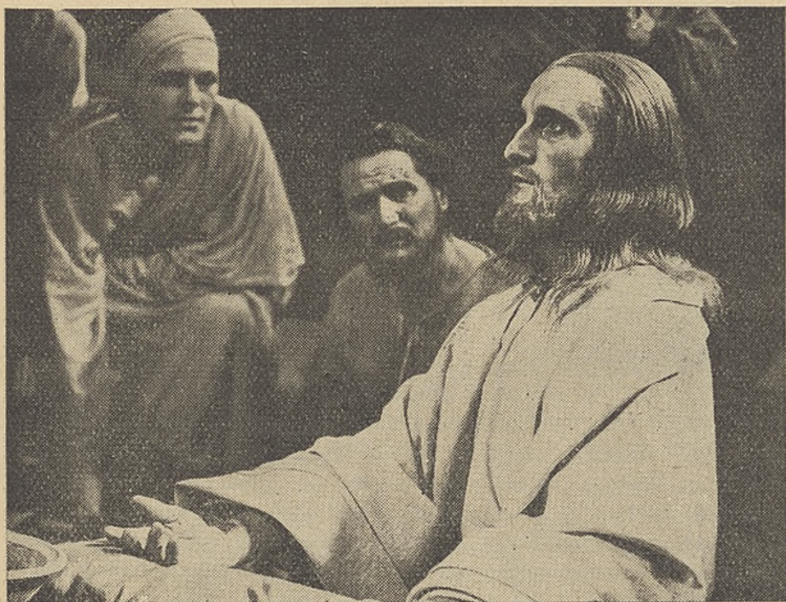
Temu zagadnieniu poświęcony jest osobny dział na Targach. Dział reklam, w którym wszystkie poważniejsze pisma Polski, biura usług reklamowych, większe zakłady graficzne, biorą udział.

Dydaktyka reklamy będzie ujęta osobno na stoisku, organizowanem przez Komitet, w skład którego wchodzą najpoważniejsze autorytety reklamy w Polsce.

(W jednym z numerów następnych umieścimy reportaż z Targów Poznańskich).

ANTONI BOHDZIEWICZ

CHRYSTUS NA EKRANIE



Chrystus w czasie ostatniej wieczerzy. Apostołowie Piotr i Jan

Nigdy nie zapomnę filmu o Męce Pańskiej, jaki kiedyś oglądałem w Lidzie. Była to prawdopodobnie pierwsza wogóle próba sfilmowania Ewangelji. Wulgarność obrazków i aktorskiego gestu była tak wielka i silna, że przykre uczucie zaczynało się mieszać z jakąś niesamowitą wesołością. Film stawał się ponurym żartem, parodją, groteską... Ze zgrozą myślało się, że podobna rzecz mogła kogoś wzruszyć, że temu patronowały probostwa i akcje katolickie.

Film ten znikł na szczęście z ekranów, kiedy Cecil de Mille zrobił swego „Króla Królów". Tym razem autor wyczuł powagę zadania, w robocie wykazał dużo subtelności i taktu. Realizm filmu był dyskretny, pełen umiaru. Jednak problem zasadniczy nie został rozwiązany. Problemem było wprowadzenie na ekran postaci Chrystusa. Mimo subtelnej i inteligentnej gry Warnera nie doznaliśmy spodziewanych wzruszeń, nie zapomnieliśmy ani na chwilę, że to jest tylko **aktor** grający Chrystusa.

Jak ten problem wygląda wogóle? Czy odtworzenie, materjalizacja postaci Boga-Człowieka jest wogóle w kinie możliwa?

Uczucie religijne umożliwia każdemu wierzącemu pobożne **wyobrażenia** postaci Chrystusa. Zasadniczą cechą tych wyobrażeń jest statyka, nieruchomość. Naszym wizjom pomagały w ciągu wieków talent i wyobraźnia genjalnych artystów, pozostawiając wizerunki i rzeźby. Te dzieła sztuki nawet ludziom bez wiary pozwalały na głębokie wzruszenia estetyczne.

Otóż co się stanie z wzruszeniem religijnem, z uczuciem człowieka wierzącego, kiedy zechcemy postać Chrystusa zmaterjalizować zupełnie, ożywić ją, innemi słowy stworzyć z niej **rolę dla aktora?** I co się stanie w tym wypadku z wzruszeniem artystycznem? Czy zjawi się tak samo, jak przy oglądaniu arcydzieł sztuk plastycznych?

Obawiam się, że nie zjawi się ani jedno, ani drugie. Obawiam się, że materjalizacja postaci Chrystusa w grze aktora — wszelkie wzruszenie zabije. Obrazu kinowego nie stwarza samotny pędzel czy dłuto genjalnego artysty, obraz kinowy jest produktem martwego aparatu, który obojętnie fotografuje to co widzi. Chrystus na ekranie będzie zatem fotografją ucharakteryzowanego **człowieka**. Nie przeszkadza nam to, gdy człowiek ma pokazać człowieka, ale przecie Chrystus był także Bogiem! Otóż aktor, nawet genjalny, nawet świetnie ucharakteryzowany i oświetlony — z własnej, **ludzkiej** skóry nie potrafi wyskoczyć, nie potrafi zaznaczyć w postaci elementu boskiego. Będzie zawsze kimś, kto udaje. Dla człowieka wierzącego niema prawdopodobnie innej możliwości materjalizacji postaci Boga-Człowieka poza **cudem**, poza cudownem objawieniem się. Wszelkie ludzkie próby, choćby w najbardziej szlachetnych intencjach zrobione — skazane są zgóry na niepowodzenie. Najgenjalniejszy Moissi świata tej materjalizacji dokonać nie zdoła. Na ekranie cielesność człowieka podkreślona jest przez samą zasadę kina i w ten sposób wyobraźnia widza zostaje nagle i brutalnie zamknięta w ciasnej przestrzeni. Niema tu miejsca na wizję, ani najmniejszej możliwości ucieczki w stronę, gdzie żyją nasze własne wyobrażenia, o konturach zatartych i niewyraźnych, ale jakże bliższych prawdy od imitacji, którą nam przynosi ekran!

W kinie jednak też jest miejsce na grę wyobraźni, zwłaszcza teraz, kiedy jest strona dźwiękowa, którą kieruje reżyser, a nie otępiała orkiestra iluzjonów. Nie jest to naturalnie łatwe i kiedy uda się, świadczy o talencie reżysera. Teraz wiemy, dlaczego mogła nas wzruszyć scena w Ben Hurze, kiedy ręka **niewidzialnego** Chrystusa pieściła głowę dziecka. Bo poza tę częściową materjalizację reżyser nie poszedł, umiał zostawić miejsce widzowi na jego własne wizje. Tak samo w „Królu Królów", w „Golgocie" — najlepsze były sceny, gdzie **czuło się** obecność Chrystusa, ale się go nie widziało. U Cecil de Mille'a był także szereg pięknych „żywych obrazów" imitujących znane dzieła sztuki, np. Ostatnią Wieczerzę Leonarda. Ale właśnie ta imitacja wykazuje niemoc kina w wypadku, kiedy się nagle znajdzie na obcych dla siebie terenach.

Muszę tu zaznaczyć, że kiedy mówię o wierzących, to myślę o wierzących na pewnym poziomie intelektualnym. Ale pozostają jeszcze dusze proste. Otóż pamiętam, że nawet wulgarne cienie z pierwszego filmu o Męce Pańskiej doprowadzały wiele osób do szlochu i wzuszenia. To wzruszenie nie dowodzi jednak niczego. To jest nerwowa, a czasem histeryczna reakcja na wszelką imitację rzeczywistości, na to co się określa powiedzeniem „jak żywe". Dusze proste wzruszają się oleodrukami, a na widok rzeźb Michała Anioła pozostaną obojętne. Tak samo nie zrozumieją pięknego pomysłu Reduty, zaznaczającej w Pasji obecność Chrystusa jedynie krzyżem przewiązanym stułą. To wszystko nie znaczy jednak, że należy popierać fabrykację oleodruków.

Inaczej wygląda całe zagadnienie z punktu widzenia ludzi niewierzących. Z chwilą kiedy odrzucamy boskość Chrystusa — wszelkie wzruszenia religijne odpadają. Pozostaje do sprawdzenia, czy może zjawić się w tym wypadku wzruszenie natury czysto estetycznej. Otóż widz, dla którego Chrystus był tylko wyjątkowym człowiekiem, **może się** zainteresować grą aktora, który tego wyjątkowego człowieka odtwarza. Niemożliwość podkreślenia pierwiastka nadziemskiego, o której wspominałem wyżej—nie gra już tutaj żadnej roli. Takie określenie, jak „wspaniała gra", „cudowne podobieństwo", „wierna interpretacja"— znów zaczynają coś znaczyć, coś określać, podczas gdy dla człowieka wierzącego **nie mogą** być kryterjami.

Ale żeby niewierzący mógł spokojnie podziwiać grę aktora w roli Jezusa Nazareńskiego—cały film musi być pomyślany po świecku, musi zmniejszać koncepcję Chrystusa do rozmiarów ludzkich. Wtedy aktor dba jedynie o człowieczeństwo postaci, o zgodność gestu z kostjumem i maski z ogólnie przyjętym wzorem. Takiego podejścia nie miał ani „Król Królów", ani nowy film Duvivier'a, choć ten ostatni usiłował iść trochę w tym kierunku. Dotychczasowe więc filmowe wersje opowieści ewangelicznej pozostaną dla wierzącego: tylko oleodrukiem pełnym jaskrawych efektów, a dla niedowiarka czemś nudnem i obcem.

„Golgota" Duvivier'a usiłuje zadowolić i jednych i drugich. Ale pomieszanie opowieści ewangelicznej z historyczną stroną momentu wypadło bardzo nieszczęśliwie. W gruncie rzeczy ma to być film religijny. Tymczasem polityczne kulisy Tragedji są przejaskrawione, a sa-



Matka Boska przygląda się triumfalnemu wjazdowi Swego Syna do Jerozolimy

mo misterjum odkupienia, gdzie wszystko układało się podług planu boskiego — zagubiło się, zatarło. Piłat jest słaby i boi się niełaski Cezara, Sanhedryn polityku je—tym oto rzeczom poświęcono nadmiernie dużo miejsca. Należało się wyraźnie zdecydować na jedno albo na drugie podejście. Łatwo zauważyć, że Duvivier ciągnął w stronę świeckiego ujęcia tematu, a kanonik Raymond, autor scenarjusza, w stronę religijnego. Podobno nawet pokłócili się ze sobą. Szlachetne zamiary księdza w połączeniu z zimną inteligencją francuskiego reżysera, której widocznie nie ogrzewała iskra wiary — doprowadziła obu do porażki. Jest rzeczą niewątpliwie bardzo ciekawą prześledzić w filmie, jak reżyser i autor scenarjusza ulegają trudnościom, jak przygnieceni tematem szukają rozwiązań i jak nie znajdują ich.


Piłat i jego żona

W odtworzeniu postaci Chrystusa zastosowano jaskrawy realizm i to było może największym błędem. Wszelkie zbliżenia umęczonego Chrystusa, scena biczowania i niektóre sceny drogi krzyżowej **robią** wrażenie, ale to jest wrażenie z teatru okropności. Trzeba też pamiętać, że im bardziej realistycznie chcemy rzecz traktować, tem większe jest niebezpieczeństwo zgrywania się ze strony aktorów. W dodatku mamy do czynienia z aktorami francuskimi, którzy nie mają naiwnej prostoty aktorów amerykańskich. Statystami operuje Duvivier świetnie, ale tylko tam, gdzie są większe tłumy. Gdzie jednak mamy mniejsze grupy i plany zbliżone — tam udawanie, gierki wyłażą odrazu, rozbijając iluzję. W tego rodzaju filmach tłumy rzadko stają się wizją historyczną, któraby nas naprawdę przekonywała. Stosuje się to do wszelkiego rodzaju filmów historycznych, a najbardziej do tych, które chcą odtwarzać realistycznie i na serjo czasy zamierzchłe. Biblja zawsze będzie na ekranie trochę operowa. Co innego, kiedy historję traktuje się jako odskocznię do żartów, tu kino może zdziałać więcej.

Z realizmem, który stosuje Duvivier kłóci się też jaskrawo strona dźwiękowa. Chrystus, apostołowie i Sanhedryn **mówią** i w dodatku po francusku. Jest to groteskowe i nieznośne. Aktor grający Chrystusa wypędza kupców ze świątyni. Kupcy wpadają do sal Sanhedrynu i krzyczą: arrêtez cet homme! Il m'a ruiné! J'ai payé ma place! Zupełnie jak na ulicy w Paryżu. Zaraz potem sam Chrystus wygłasza przemówienie ze schodów świątyni. Słyszymy piękny, paryski akcent. Zupełnie pan Herriot na bankiecie. Ma się wrażenie, że zaraz powie coś takiego: Mesdames et messieurs, aucune question ne se pose avec plus d'urgence que celle de la sécurité de notre chère patrie... Wszystkie dialogi pełne są tej teatralności nieznośnej w kinie. Karol V-ty miał powiedzieć: po francusku możesz szczebiotać z kobietami. Komendę należy podawać po niemiecku, z przyjacielem rozmawia się po włosku, a z Bogiem po hiszpańsku! Ale w naszym wypadku nie chodzi o ten czy inny język, chodzi o to, żeby cienie, które kino niefortunnie wywołało—milczały **wogóle**. Jestem zdania, że nie byłoby o wiele lepiej, gdyby aktorzy mówili po polsku. W tem miejscu ktoś może zawołać: a w teatrze? Czemu nie razi nas Judasz Rostworowskiego mówiący po polsku? Otóż w teatrze godzimy się na konwencje łatwiej i prędzej niż w kinie. Między nami a teatrem istnieje oddawna cicha umowa, że publiczność to 4-ta ściana, że trzy pozostałe to dekoracje, że piorun jest w pudle, że Cezar gada po polsku i w odbiorze wzruszeń nic to nam nie przeszkadza, już tak jest! Co innego w kinie. Kino choć dwuwymiarowe i czarno-białe — jest większą, bardziej łudzącą imitacją świata widzialnego, niż scena o trzech wymiarach. Rzeczy znośne w teatrze stają się w kinie nieznośne, sztuczne, fałszywe.

Zmaterjalizowane cienie na ekranie nie powinny były wogóle mówić. Wtedy byłoby trochę miejsca na nasze własne wizje, o których konieczności wspominałem. Więc ani po polsku, ani po francusku, ani po łacinie czy hebrajsku! Film zaczyna się od komentarzy speakera. Czy nie byłoby rzeczą najwłaściwszą, tam gdzie obraz prosił o sugestywny komentarz—tym samym sposobem podawać tekst ewangeliczny.

Prostoty i siły tego tekstu **nic** nie zastąpi. Kino w tych rzeczach jest niepotrzebne, nic dać nie może. To są tereny dla kina obce. Należy je zamknąć, odgrodzić murem i napisać: „Wstęp wzbroniony".

* * *

P. S. Trzebaby rozważyć przy okazji problem filmu katolickiego wogóle. Co o „katolickości" ma decydować, temat filmu czy osoba autora i jego własny stosunek do religji? Mam wrażenie że tylko to ostatnie.

ANTONI GOŁUBIEW

7)

Mędrcy na arenie

Turniej XX wieku.

Wielka sala miejska, udekorowana flagami o barwach narodowych, przepełniona była po brzegi — same piękne kobiety. A stroje! — sala tworzyła olbrzymi, wspaniale rozwinięty pawi ogon. Gdyby te wszystkie jedwabie pociąć na pasy, uzyskanej długości napewno starczyłoby na połączenie księżyca z ziemią.

Upajający zapach perfum unosił się w powietrzu. Zebrane błyszczącemi oczami wyglądały początku konkursu. Do estrady dolatywały oderwane zdania:

— ... jakoby najbardziej dorodni mężczyźni...

— A cóż pani myślała? Przecież to elita społeczeństwa. Naszą jest rzeczą roztrzygnąć.

— Wielka to odpowiedzialność—westchnęła wyborczyni.

— Oczywiście, droga pani. Musimy głosować w skupieniu. Od nas tylko zależy...

— Licznie się stawiły kobiety — rzekła wyborczyni, lornetując salę.

— Licznie, bardzo licznie. Tylko czy znają się one na estetyce, na pięknie?

— Na pięknie mężczyzny...

— O właśnie — przytaknęła wyborczyni, krytycznie spoglądając po zebranych — mocno wątpię. Wyboru miały dokonać tylko kobiety piękne. A tu zebrały się same baby. Niech pani spojrzy, ani jednej pięknej tu niema. Ani jednej!

— Rzeczywiście — oburzyła się towarzyszka.

— Niech pani spojrzy naprzykład na tę blondynkę. Rozwichrzyła włosy, myśląc, że jest jej z tem bardzo do twarzy. Przecież ondulację stanowczo ma za wyraźną. A jak jaskrawo wymalowane usta!

— Prawda, prawda — szeptała towarzyszka, zaglądając do lusterka w torebce.

— A co za stroje... Czyż można wkładać taki zielony jedwab, gdy ma się taką tuszę, jak nasza sąsiadka. Oo... i założyłabym się, że ma ona sztuczne zęby. Tak je demonstracyjnie pokazuje w uśmiechu.

— Niechno pani spojrzy na te dwie, siedzące na balkonie — szepnęła towarzyszka — jak nam się przypatrują i wciąż chichoczą. Ręczę, że nas obmawiają.

Wyborczyni skrzywiła się z niesmakiem.

— Nie znoszę tego plotkarstwa — wyznała — to takie niskie. Taki jest w tem brak krytycyzmu. A ręczę, że w całej sali nie znajdzie pani ani jednej kobiety, któraby nie lubiła strzępić buzi o swych bliźnich. Okropne!

— Prawda, moja pani, prawda...

I obie rozmówczynie westchnęły głęboko.

Cała sala niecierpliwiła się coraz bardziej — termin rozpoczęcia uroczystości minął już dawno. Gdy zniecierpliwienie wzmogło się należycie, na estradę wstąpił aranżer całej uroczystości, najgenjalniejszy człowiek Polski. Przywitała go burza oklasków.

— Moje piękne panie—zaczął mówić piskliwie—zanim przejdziemy do właściwej uroczystości, parę słów wstępu.

Jestem waszym obrońcą, co mi zresztą przyznajecie i za co w tysiącznych listach dziękujecie jak najserdeczniej. Przypominam wam, że to ja uczyniłem was ludźmi. Dawniej byłyście niewolnicami mężczyzny, nieświadomemi siebie. Byłyście zależne od niego i jego brutalności. Ja dopiero wystąpiłem w imię wolności waszej i płci. Otworzyłem wam moje wszechludzkie serce i moją poradnię. Sam przytem skorzystałem i nie wiem nawet, jak i kiedy stałem się mędrcem. Minęły dawno czasy, w których pisywałem małe swawolne wierszyki. Do czasów tych jednak sięgnę, by trochę usprawiedliwić siebie. Pozwólcie zacytować:

To nieprawda, żem jest wieprzak,
choć we wszystkiem lubię pieprzyk.

Dzisiejszy wieczór to dalszy etap w walce o waszą wolność. Dość już bezmyślnej supremacji mężczyzn, którym wolno wybierać kobiety! Teraz wy wybieracie. Patrzcie dobrze, przeglądajcie kandydatów nawylot. A temu, kogo uznacie za najbardziej godnego siebie, dajcie palmę pierwszeństwa. Dziś wasz i mój egzamin: oto kobieta, wolna kobieta nowoczesna daje świadectwo, jak ją daleko zaprowadziłem. Oto dziś wybiera sobie kochanka. Cześć ci, kobieto!

Grzmot oklasków wybuchł w tej chwili i trwał długo. Potem sporadycznym odruchem zjednoczona w entuzjazmie sala zaczęła śpiewać, jak jeden mąż:

To nieprawda, żeś jest wieprzak,
choć we wszystkiem lubisz pieprzyk.

Uczciwszy w ten sposób swego mistrza, wolne kobiety nowoczesne zamarły bez tchu w oczekiwaniu kandydatów. Oczy płonęły, piersi wznosiły się w szybkim oddechu. Zawodnicy mieli stawać w kolejności zgłoszeń.

Pierwszy wystąpił młodzieniec o bladej twarzy i pięknie zaczesanych włosach. Cudny to był młodzieniec, pełen poezji i melancholji. Sala się poruszyła. On przespacerował się po estradzie, oparł rękę o przygotowany stolik, okręcił się dokoła, ruszył niedbale nogą *), wreszcie z niesłychanym wdziękiem posłał sali całusa. Tu i ówdzie ozwały się oklaski, większość wyborczyń podostawała wypieków. Gdy pierwszy zawodnik wyszedł, rozległ się szmer pochwalny:

— Jaki dystyngowany...
— Jaki subtelny...
— Jaki miły...

Przy ukazaniu się następnego sala zamarła. Był to olbrzym. Miał szerokie na metr bary, węźlaste muskuły, rysujące się wyraźnie pod trykotem. Kandydat na najpiękniejszego mężczyznę napiął mięśnie na ramieniu, uczynił kilka uderzeń bokserskich, przegiął się wtył, wciągnął masę powietrza do płuc. Wkońcu wzniósł rękę do góry i powitał salę, jak sam Hitler.

Tym razem oklaski długo nie chciały umilknąć. Wywoływano zawodnika wielekroć. Wyborczynie entuzjazmowały się coraz bardziej:

— Wspaniały...
— Co za mięśnie...
— Prawdziwy mężczyzna...

Następny zawodnik był brutalny. Wszedł na scenę z rękoma w kieszeniach, nachylił głowę i patrzał drwiąco na salę. W pewnej chwili wybrał wykałaczkę i zaczął bezczelnie dłubać sobie w zębach. Podobało się to ogólnie.

— Jaki rozkoszny brutal...
— Nic sobie nie robi z kobiety...
— Ach takiego rozkochać, takiego okiełzać...
— ... jak małego, kosmatego pieska.

To też gdy brutal odwrócił się od wyborczyń i w niedbałej pozie czytał gazetę, którą był wybrał z kieszeni, sala oszalała. Bito tak mocno w dłonie, aż biedne kandelabry zaczęły drżeć. Poszczególne wyborczynie zerwały się z miejsc, krzyczały z radości. Któraś zaczęła wołać:

— Chodź tutaj, ty mój, ty wymarzony!

Kiedy zaś nieczuły na to wszystko brutal spokojnie ruszył ku drzwiom wyjściowym, wzburzenie było takie, że zdawało się, iż sufit runie; falował bowiem wyraźnie.

Pana Kłapoucha oglądano już stojąc. Gdy wszedł, lekko poruszając uszyma, jedno westchnienie zachwytu przeleciało przez salę. — Taki piękny! Taki rozumny! Taki uduchowiony! Takie niezwykłe połączenie wszystkich zalet męskich. I wdzięk, i siła, i męskie traktowanie kobiet! Wspaniały!!!

A pan Kłapouch zwolna kroczył na przód sceny, z zamyśleniem spoglądając na tysiące wyciągniętych ku sobie ramion, na tysiące świecących jak gwiazdy oczu. Był smutny trochę i taki piękny. Stał oto przed tłumem zakochanym w nim bez pamięci i dumał o rzeczach głębokich. Lecz przypomniał sobie widocznie naukę dyrektora, gdyż błysnął pięknemi zębami w smutnym uśmiechu. I wyciągnął do sali ramiona...

A entuzjazm doszedł szczytu. Tłum wielbicielek ruszył ku wybranemu. Jak morze, uderzył na estradę, przełamał barjerę, przebył wgłębienie dla orkiestry i już był na scenie. Tysiące ramion kobiecych podjęło pana Kłapoucha wgórę. Krzyczano spazmatycznie.

— O ty, o ty, o ty!!!

Unoszony silnemi dłońmi wolnych, nowoczesnych kobiet, okrążył pan Kłapouch po trzykroć całą salę, a potem—wciąż wśród okrzyków — wyniesiono go na ulicę. Radosny pół-śmiech, półszloch potoczył się przez miasto. Oto wybrany jest mister Poloniae! Niech żyje!

I pan Kłapouch płynął przez ulice na rękach wielbicielek. Z okien i balkonów sypały się nań kwiaty, pęki kwiecia. Pan Kłapouch łagodnie ruszał uszyma i lekko się uśmiechał. Był to już jego drugi marsz triumfalny na arenie świata.

Za pochodem zaś biegł okrągły dyrektor cyrku Colosseum i płakał ze szczęścia.



Rys. TADEUSZ GODZISZEWSKI

*) Noga była ubrana w śliczny lakierek.

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.

Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.

PAX — DWUTYGODNIK

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zl.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja czynna: wtorki, czwartki i soboty od godziny 7-ej do godziny 9-ej wieczorem.
W zastępstwie redaktora naczelnego przyjmuje we wtorki od godziny 8-ej do 9-ej wieczorem CZESŁAW ZGORZELSKI.
Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godziny 11 do 1.

Redakcja i Administracja: Wilno, Metropolitalna 3-8. Konto P.K.O. 144-229

T-wo Wydawnicze „POGOŃ“, Drukarnia „PAX“, ul. Ignacego 5, tel. 8-93.